tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 33 (1132) ROK XXII 19 SIERPNIA 1979 R. CENA 3 zł

W NUMERZE:

Zdrowie dziecka

— Jeśli już wolno pomarzyć, to miałabym takie dwa prezenty. Jeden to otwarcie w Łodzi pracowni diagnostycznej do ambulatoryjnego wykrywania wrażliwości dzieci na alergeny. Drugi — ulicę Sporną, przy której mieści się Instytut Pediatrii AM, przemianować na „ulicę prof. Stanisława Popowskiego".

(Z DR ST. SOBIEŃ-KOPCZYŃSKĄ ROZMAWIAŁ W. STOKOWSKI)

Sensei znaczy mistrz

Bezbronne ręce uczynić śmiercionośną bronią mogli tylko ludzie zdesperowani do ostateczności. I uczynili. Ale też i dziś, aby umieć posługiwać się karate, nie wystarczy tylko doskonalić ciało, trzeba też doskonalić ducha, siłę woli i charakter.

(BOGDA MADEJ)

Fascynacja

W izbie był ktoś nowy. Dziewczyna. Spojrzałem raz, drugi raz i zatkało mnie. Dziewczyna miała twarz tak piękną, że aż przymknąłem oczy, czując, że moje serce zaczyna bić gwałtownie.

(EDWARD KOPCZYŃSKI)

POZA TYM:

Poezja
Felietony
Recenzje
„Załącznik"

Foto: Archiwum

HELENA KOWALIK

OBLĘŻENIE BASZTY

— Gdy pierwszy raz urządzili na mnie w pracy nagonkę — nie przyznałem się dzieciom ani słowem. Powiedziałem tylko do syna Leszka — pakuj plecak, zrobimy sobie wakacje. Oni do dzisiaj... — Jan Barański przerywa, nasłuchując. Ktoś z zewnątrz chrzęści kluczem w zamku do ich drzwi. — *Zdaje się* — zniża głos do szeptu — *że córka wraca z uniwersytetu. Później opowiem o tych swoich pierepałkach...*

Dziewczyna wchodzi do pokoju, a my wpatrujemy się pilnie w stary notesik zapisany dziecinną ręką: Ostrowiec Świętokrzyski, Choborzany, Samborzec, Oblegorek, Kielce, Huta Szklana, Scholastyka...

— Nasza marszruta tamtego lata, 64 roku — powiada Barański. — *Kazałem synowi prowadzić diariusz, ale gdzie czternastoletniemu chłopcu w głowie zapisywanie własnych myśli. Skończyło się na rozkładzie jazdy.*

(Ciąg dalszy na str. 3)

ZDROWIE DZIECKA

— Pani Doktor, jaki okres w życiu człowieka może zadecydować o jego późniejszym stanie zdrowia?

— Okres pierwszych sześciu-dziesięciu dni po zapłodnieniu, później okres od trzech do ośmiu tygodni życia zarodka i wreszcie — początek drugiej połowy ciąży, kiedy rozpoczyna się intensywny wzrost narządów już wykształconego płodu.

— A zatem od jakiego momentu należy szczególnie dbać o zdrowie dziecka?

— O zdrowie dziecka trzeba zawsze dbać z niezwykłą uwagą i troskliwością. Najczęściej — już na długo przed urodzeniem dziecka, a najpóźniej — od początku ciąży. Nie można zapominać, że ogólny stan zdrowia obojga rodziców i ewentualne obciążenia genetyczne odgrywają ogromną rolę i rzutują w przyszłości na zdrowie i sprawność dziecka, na zdrowie i sprawność jednostek i w dalszej perspektywie — na wydolność społeczeństwa. Wiele czynników, nieszkodliwych dla matki, działa szkodliwie, lub wręcz rujnująco, na rozwijający się w jej łonie płód.

— Na przykład?

— Promienie Roentgena, większość leków, głównie środki nasenne i uspokajające, palenie papierosów, choroby wirusowe, zatrucia pokarmowe, alkohol. Czynniki te mogą bardzo niekorzystnie wpłynąć na rozwój dziecka już w pierwszej połowie ciąży, kiedy tworzą się i utrwalają zasadnicze narządy ciała. Również niewłaściwe odżywianie się matki zarówno pod względem jakościowym, jak i ilościowym może bardzo szkodliwie oddziaływać na rozwój dziecka, szczególnie w drugiej połowie ciąży, w okresie wykształcania się w dziecku kory mózgowej i tkanki mózgowej. Odpowiednie odżywianie się matki jest również ważne dlatego, że w ostatnich trzech miesiącach ciąży w wewnętrznych narządach dziecka, głównie w wątrobie, odkładają się pewne ilości żelaza, wapnia, fosforu i witaminy D, stanowiąc rezerwę, którą zużywa dziecko w pierwszych miesiącach swego życia.

— Istnieje jakaś uniwersalna metoda pielęgnacji i wychowania dziecka?

— Nie ma takiego schematu. Każde dziecko stanowi indywidualność, inaczej je, inaczej zasypia i inaczej śpi, ma inne zapotrzebowanie na witaminy i inaczej je przyswaja. Dlatego należy kontrolować jego rozwój co najmniej raz na miesiąc, żeby ocenić osiągnięcia fizyczne i psychiczne dziecka. Nie nastręcza to trudności, gdyż w Polsce każde dziecko, od niemowlęcia, jest objęte opieką poradnictwa dla dzieci zdrowych.

— Czy można wpływać na zachowanie niemowlęcia? Czy to nie za wcześnie?

— Można. W tym czasie wyrabia się już w dziecku pewne nawyki.

(Ciąg dalszy na str. 4)

BOGDA MADEJ

SENSEI ZNACZY MISTRZ

CZYTAJ STRONA 5

Foto: R. Łucyszyn

AKTUALNOŚCI

KRONIKA KULTURALNA

Z okazji 35 rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego na Placu Teatralnym w Warszawie odbył się Apel Poległych oraz wielkie widowisko poetycko-historyczne. Reżyserował je **Stanisław Brejdygant.** 1 września 1979 roku na Placu Zamkowym odbędzie się podobne widowisko z okazji 40 rocznicy najazdu hitlerowców na Polskę i wybuchu drugiej wojny światowej. Reżyseruje również **Stanisław Brejdygant.**

* * *

Zbliża się rozpoczęcie nowego roku szkolnego. Drukarnie Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych zakończyły już druk podręczników szkolnych. Wydrukowano przeszło 27 milionów podręczników dla wszystkich typów szkół. Na wyróżnienie zasłużyli sobie pracownicy drukarń Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych w Bydgoszczy i Łodzi.

Nowe podręczniki dostaną w komplecie uczniowie pierwszych i drugich klas szkoły dziesięcioletniej. Dla innych — niestety — podręczników zabraknie. W niektórych przypadkach nowe podręczniki zaspokoją tylko 20 proc. potrzeb. Wszystko więc będzie zależało od sprawnego skupu starych podręczników.

* * *

Lokal dla mającego powstać w Warszawie Muzeum Karykatury przy ul. Koźlej 7 jest jeszcze w remoncie, a kustosz tego muzeum — **Eryk Lipiński** przygotowuje już pierwszą wystawę satyry. Będzie ona nosiła ogólny tytuł „Warszawa" i otwarta zostanie na 35-lecie wyzwolenia Warszawy w Muzeum Literatury.

* * *

Rozpoczęły się siódme Koszalińskie Spotkania Filmowe „Młodzi i film". Tegoroczne spotkania, które zakończą się w połowie sierpnia, poświęcone są wychowaniu dla pokoju. Uczestnicy seminariów koszalińskich dyskutować będą nad procesami intelektualnego, moralnego i ideowego wychowania młodzieży i roli, w tym filmie.

* * *

W Krakowie trwa restauracja zabytkowej, bożnicy z przełomu XV i XVI wieku. Bożnica była zniszczona w czasie okupacji i odbudowana w latach pięćdziesiątych. Po odbudowie ulokowano tam oddział judaistyczny Muzeum Historycznego Miasta Krakowa. Obecnie — po zakończeniu prac konserwatorskich — powstanie tam jedyne w Polsce Muzeum Historii Żydów.

* * *

Zakończył się w Żywcu, Szczyrku, Wiśle, Bielsku-Białej, Makowie Podhalańskim XVI Tydzień Kultury Beskidzkiej „BESKIDY 79". W imprezach tego tygodnia wzięły udział między innymi zespoły regionalne spod Beskidów, Gorców, Tatr, a także zespoły góralskie z Alp i Bałkanów.

* * *

Reprezentacyjny Zespół Tańca Włókniarzy przy ZPB im. Sz. Harnama w Łodzi po raz 47 wyjechał poza granice Polski. Tym razem do Anglii na festiwal folklorystyczny w Billingham. Po występach na festiwalu „Harnam" wystąpi też w Lancaster.

* * *

W Gdańsku odbyły się tradycyjne Dni Gdańska, a w ich ramach słynny już „Jarmark Dominikański". Mimo nie najlepszej pogody, Gdańsk odwiedziło wielu turystów, którzy oglądali stoiska „Jarmarku Dominikańskiego", pchli targ oraz zwiedzali wystawy, słuchali koncertów muzyki i oglądali inne występy artystyczne.

* * *

W Katowicach zmarła modelka **Stanisława Ignacego Witkiewicza — Eugenia Kuźmińska** zwana też „asymetryczną damą". Posiadała ona 27 swoich portretów namalowanych przez Witkacego. Część z tej kolekcji posiada już Społeczne Muzeum Historii Katowic, czyni się starania o resztę. Po ich uzyskaniu muzeum planuje stałą ekspozycję pamiątek po St. I. Witkiewiczu.

* * *

Z początkiem sierpnia 75 rocznicę urodzin obchodzili:

— **Janina Broniewska** — znana pisarka, publicystka i reportażystka, były oficer WP i korespondentka wojenna. Z okazji Jej jubileuszu życzenia złożył członek Biura Politycznego KC PZPR, minister obrony narodowej — **W. Jaruzelski.**

— **Aleksander Bocheński** — wybitny eseista, publicysta i tłumacz. Życzenia i gratulacje pisarzowi przekazał minister kultury i sztuki.

* * *

„Miesięcznik Literacki" przyznał nagrody za 1979 rok. Nagrody otrzymali:

— **Irena Jakimowicz** za książkę „Witkacy, Chwistek, Strzemiński, idee i obrazy",

— **Włodzimierz T. Kowalski** za książkę „Walka dyplomatyczna o miejsce Polski w Europie",

— **Bronisław Minc** za książkę „Spór o istotne treści marksizmu".

Tygodnik „Kultura" nagrodę za 1978 rok przyznał za całokształt twórczości **Ryszardowi Kapuścińskiemu.**

* * *

Telewizja Polska i Wydawnictwa Radia i Telewizji ogłosiły konkurs na powieść — sagę rodzinną. Ma ona obejmować dzieje czterech pokoleń jednej rodziny. Objętość powieści nie może być mniejsza od 15 arkuszy — 330 stron znormalizowanego maszynopisu.

Nagrody: I — 50 tys. zł, II — 25 tys. zł, III — 15 tys. zł oraz dwa wyróżnienia po 10 tys. zł.

Termin składania prac: 31 marca 1981 roku.

* * *

Po raz trzeci odbył się w Turku w województwie konińskim plener rzeźby ludowej, w którym uczestniczyło kilkunastu rzeźbiarzy ludowych z całego kraju. Każdy z nich otrzymał do „obróbki" kilkumetrowy pień topoli. Wykonane rzeźby ozdobią place zabaw i tereny rekreacyjne. W związku z plenerem odbyło się w Turku wiele różnych imprez towarzyszących: koncerty zespołów ludowych, kiermasze rzeźby ludowej i wyrobów rzemieślników.

* * *

W Warszawie w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki na Nowym Świecie można obejrzeć pokonkursową wystawę fotograficzną „Rodzina polska". Na konkurs ten wpłynęło 1700 prac 182 autorów. Dwie drugie nagrody otrzymali: **Mariusz Hermanowicz** i **Zofia Rydet.**

* * *

W Irkucku z okazji 35-lecia PRL odbyła się w tamtejszym Klubie Międzynarodowej Przyjaźni „Wisła" wystawa książki polskiej, na której zgromadzono 300 pozycji z literatury klasycznej, jak i współczesnej.

* * *

W Sopocie koncertować będzie niezwykle popularny obecnie zespół muzyczny „Boney M"; a następnie — po koncertach w Sopocie, 29 sierpnia 1979 roku wystąpi w Warszawie na stadionie „Skry".

* * *

W 5 kinach Paryża wyświetlany jest film **Andrzeja Wajdy** „Panny z Wilka". Film ten cieszy się dużą popularnością. Krytycy filmowi, uczestniczący w stałej ankiecie pisma „Pariscope" ocenili ten film wyżej niż „Próbę orkiestry" Felliniego i „Norma Rae" **Martina Riffa.**

Telewizja francuska w drugim programie rozpoczęła emisję polskiego serialu „Czterdziestolatek". W pierwszym programie natomiast nadano film **Andrzeja Wajdy** „Smuga cienia".

* * *

Inny film **Andrzeja Wajdy** „Wesele" dotarł do Buenos Aires, gdzie spotkał się z bardzo dobrym przyjęciem. Przy tej okazji „Le Monde" uznał „Wesele" za najwybitniejszy film europejski ostatnich 10 lat. Pochlebne recenzje ukazały się też w argentyńskim „La Nacion".

* * *

W wiedeńskim ratuszu od 20 lipca br. czynna jest wystawa opracowana przez „Interpress" — „Wszystko o Polsce". Wystawa zorganizowana została pod patronatem kanclerza Austrii — **Bruno Kreisky'ego,** burmistrza Wiednia — **Leopolda Gratza** i ambasadora PRL w Wiedniu — **Andrzeja Jedynaka.**

* * *

Francuska telewizja rozpoczęła emisję sześcioodcinkowego serialu pt. „Miss", w którym rolę detektywa gra znana i popularna aktorka francuska — **Danielle Darrieux.**

* * *

W Związku Radzieckim od blisko 50 lat działa cygański teatr „Romen". Jego głównym reżyserem jest **Nikołaj Sliczenko,** wykonawca dawnych romansów rosyjskich i cygańskich, a po ukończeniu studiów teatralnych, reżyser i aktor „Romenu". Teatr ten od roku posiada już własne studio i przygotowuje młodzież do aktorskich ról.

ŻYĆ POEZJĄ

Latem tego roku zmarł nieoczekiwanie w wieku lat 41 Edward Stachura, jeden z oryginalniejszych pisarzy średniego pokolenia. Komunikat PAP wymienił spośród wielu książek Stachury „Siekierezadę, czyli zimę leśnych ludzi". I choć równie piękne były inne jego książki — „Wszystko jest poezją" czy „Cała jaskrawość" — to właśnie „Siekierezadę" chcę przypomnieć. Ona to właśnie zaczyna się jak film Wajdy o Zbyszku Cybulskim — sceną na wrocławskim dworcu, ale ta scena to tylko pretekst, aby wejść w tłum, słuchać jego głosów — okrutnych i głupich, mądrych i wzruszających...

I właśnie ta scena — prawdziwa i tragiczna — była u kresu życia Edwarda Stachury. Tamtą napisaną sceną pisarz jak gdyby przeczuł tę scenę prawdziwą... Czy wiedział o tym pisząc swoją „Siekierezadę".

Edward Stachura — pisarz, pracował jako drwal nie po to, aby napisana przez niego książka imitowała tekst napisany przez drwala. Edward Stachura — drwal, napisał książkę jako pisarz.

W tej powieści zawierającej tyle ulotnych, małych obserwacji i tyle trwałych, pięknych myśli i wzruszeń, zawarta jest poważniejsza i większa refleksja o współczesności. Książka Stachury jest książką o samotności wśród ludzi i o błyskach zrozumienia, o przyjaźni bez słów i o smutku bez wyznań. Cała twórczość Stachury zawiera to właśnie...

Książki Edwarda Stachury mówią prawdę o twardych, prostych ludziach, gdzieś w Polsce, gdzieś w świecie, gdzieś w lesie — ale mówią też o człowieku uwikłanym, który „skazany jest na zagładę, na pożarcie przez mgłę, na rozmycie, na rozpłynięcie, na rozwianie się we mgle, we mgle...".

Książka Stachury o drwalach udowadnia, że praca siekierą w zapadłym kątku Polski nie jest receptą na literaturę optymistyczną i kolorową. Udowadnia raz jeszcze, prawdę, że z tak klasycznie fizycznego trudu można wynieść książkę o bezradności, przemijaniu i samotności — tak jak z ponurego, pełnego śmierci sanatorium wynieść można książkę pełną optymizmu i życia.

Literatura nie powstaje bowiem w lesie, fabryce, kopalni. Powstaje w życiu, które jest równie piękne i trudne w leśnej przestrzeni, co w wielkomiejskim zgiełku. Pisarz w lesie — znaczyło u Stachury — pisarz w życiu.

Pisarzem tkwiącym w życiu był Edward Stachura — i w życiu tkwiła cała jego — owiana poezją — twórczość. I choć uczeni poloniści pomijali go we wszystkich pokoleniowych antologiach i syntezach — nie da się pominąć jego twórczości w panoramie literackiej naszego czasu. Książki Edwarda Stachury jeszcze nieraz do nas wrócą i pozostaną w nas, wzbogacając naszą wrażliwość o nowe tony.

JERZY WILMAŃSKI

ŚRODOWISKO

DRZEWA ROSNĄ POWOLI

Urlop współczesny człowiek najchętniej spędza w górach, nad morzem, czy nad jeziorem. W okresie świąt i dni wolnych od pracy „skazany" jest na odpoczynek w pobliżu swego miasta. Okolice Łodzi nie są najbogatsze w walory przyrodnicze. Po Puszczy Łódzkiej, dziś już nie istniejącej, która jeszcze na początku ubiegłego stulecia porastała Wysoczyznę Łódzką, pozostało kilka pomników przyrody — dąb „Kosynier" w parku im. A. Mickiewicza, zabytkowe dęby w parku Źródliska, dąb w Paradyżu przy ul. Piotrkowskiej 175 i nieliczne rezerwaty leśne: Polesie Konstantynowskie, rezerwat bukowy Wiączyń, rezerwat jodłowo-bukowy Gałków, Molenda i Wolbórka. Nie jest tego dużo. I nie wszyscy o tym wiedzą.

Wokół Warszawy na przykład rozciąga się wielki zielony pierścień lasów wraz z Kampinoskim Parkiem Narodowym, w sąsiedztwie natomiast Poznania znajduje się Wielkopolski Park Narodowy, blisko Kielc — Świętokrzyski Park Narodowy. Gdzie ma szukać bezpośredniego kontaktu z przyrodą mieszkaniec Łodzi?

Poza tym lasy podmiejskie, jako niezastąpione miejsca wypoczynku świątecznego, wykorzystywane są do granic swych możliwości. Szczególnie w okresie wakacji i grzybobrań podlegają one wyjątkowej „erozji turystycznej" — deptaniu, niszczeniu i zaśmiecaniu. Wszystko dzieje się za sprawą ich małej „pojemności", gdyż liczba użytkowników na hektar przewyższa znacznie dopuszczalne normy. Zniszczeniu i przekształceniu ulegają przede wszystkim rośliny zielne, w mniejszym stopniu krzewy i drzewa. W lasach: łagiewnickim, wiączyńskim, grotnickim, tuszyńskim i innych prowadzi się poza tym normalną gospodarkę leśną, z określonymi limitami wyrębu, tzw. „etatami cięć".

Na dodatek Łódź należy do miast ubogich w zieleń. Będąc dużą aglomeracją, musimy wyjątkowo dbać o każde drzewo i krzew. Dla własnego dobra, dla ochrony środowiska należy uczyć społeczeństwo entuzjazmu dla parków, skwerów, zieleńców i drzew. Uczyć norm i ocen moralnych obowiązujących człowieka w stosunku do środowiska. Wiele już w tym względzie uczyniono, a działalność FJN, LOP, PTTK, Straży Ochrony Przyrody i środków masowego przekazu, przyczynia się do uświadomienia mieszkańców, do podniesienia estetyki miasta.

Pożyteczne i piękne przedsięwzięcia, jak: „zielone świadectwo urodzenia" pod patronatem „Dziennika Popularnego", harcerska akcja „czyste lasy", kawaleria komunalna, zarządzenie prezydenta miasta w sprawie cennika drzew, zamknięcie ruchu kołowego na ulicy Wycieczkowej, ukwiecanie balkonów, zrodziło się nie tylko z pobudek emocjonalnych, lecz przede wszystkim racjonalnych. W mieście zapylonym, czarnym, o rachitycznych drzewkach na ul. Piotrkowskiej i spopielonych krzewach w śródmieściu, dbałość o zieleń jest koniecznością.

Często jesteśmy świadkami natychmiastowej i ostrej reakcji łodzian na wszelkie niszczenie zieleni. Powszechny niepokój swego czasu budziło uszczuplenie powierzchni parku im. J. Poniatowskiego, a dziś nurtuje zapowiedź masowego wycinania topoli chińskich w tymże parku i na Zdrowiu oraz plan budowy kolektora sanitarnego w parku im. A. Mickiewicza, jednym z najcenniejszych. Warto przy tej okazji może pamiętać, że drzewa rosną powoli, a w warunkach miejskich o wiele wolniej niż w lesie. I że dopiero starodrzew ma nieocenioną wartość dla środowiska, krajobrazu i mikroklimatu.

Poza tym warto też pamiętać, że parki należy modernizować i pielęgnować. Park, w którym nie prowadzi się zabiegów pielęgnacyjnych i uzupełnień, łatwo traci swój charakter i ulega dewastacji. Modernizacji oczekuje na przykład park im. 19 Stycznia, jeden z najładniejszych niegdyś łódzkich parków i tak bardzo związany z historią miasta.

Niektóre łódzkie parki, a wśród nich i te najciekawsze i największe wyposażone są w urządzenia kulturalno-społeczne, w których realizuje się bogaty program kulturalno-oświatowo-usługowy. Brak w nich miejsca i warunków do cichego wypoczynku. Urządzenia radiofoniczne wraz ze wzmacniaczami i głośnikami w postaci „gigantofonów" i „rykofonów" dostatecznie straszą ptactwo, zakłócają ciszę i odstraszają spacerowiczów pragnących wrażeń estetycznych, specyficznego mikroklimatu, a przede wszystkim leczniczej ciszy potrzebnej ludziom wielkich miast.

Park Kultury i Wypoczynku na Zdrowiu ze względu na swój charakter staje się przykładem idealnego kombinatu wypoczynkowo - rozrywkowego. Niektórzy projektanci uważają, że można w nim zmieścić wszystko: istniejącą muszlę koncertową, gwarną „Falę", głośny „Lunapark", przestronny pawilon do gier automatycznych, dyskotekę i kawiarnię, bazę gastronomiczną, obiekty „Dziecięcego raju"... oraz radiofonię „Foniki". Powyższe atrakcje, choć nie wszystkie wymieniono, znajdą się na tym niewielkim obszarze, spełniającym wielorakie funkcje w myśl założeń — „by nie było martwego okresu". Oj, nie będzie! Ale może by też ustanowić tam strefę ciszy dla ludzi pragnących spokoju, kontaktu z naturą.

Rozmieszczenie zieleni w mieście zależy głównie od funkcji społeczno-gospodarczych miasta, od jego położenia i sposobu powstania. W Łodzi mamy na przykład system plamowy (rozproszony), który jest układem przypadkowym, chaotycznym, narastającym wraz z rozwojem miasta. System ten przez swoje rozproszenie nie wytwarza mikroklimatu, nie tworzy połączeń ze strefą podmiejską — lasami, łąkami i polami. Ma on wiele wad i braków w stosunku do świadomie komponowanych systemów takich, jak: pierścieniowy, promienisty, czy pasowy, łączących miasto z zielonymi terenami pozamiejskimi i zapewniających dobre napowietrzanie miasta. Nie dość jednak tego, to zieleń miejska jest jeszcze systematycznie niszczona.

Tylko w jednym dziesięcioleciu w Łodzi wycięto 11 tysięcy drzew z ulic, przy aktualnej ich liczbie około 60 tysięcy. Znaczna część drzew choruje na chlorozę, powstającą na skutek stosowania środków chemicznych (np. soli) oraz skażenia spalinami i metalami ciężkimi. Inne giną z braku dopływu wilgoci i powietrza do korzeni, podczas mroźnych zim, okaleczeń ciężkim sprzętem mechanicznym, z rąk wandali oraz... projektantów inwestycji planowanych z rozmachem, bez odbywania wizji lokalnych. Na wielu łódzkich ulicach brak zielonych towarzyszy człowieka, a na miejscach wyburzeń lokuje się przeważnie parkingi, bardzo rzadko zieleńce i skwery. Beton, asfalt, kostka kamienna, płyty chodnikowe i kamienie w wielu miejscach skutecznie bronią terenu przed inwazją roślin, pojawiających się spontanicznie. Są to miejsca smutne, ponure i brzydkie, łatwo je poznać po dodatkowo ustawionym żelazie i betonie w postaci mis, wazonów, korytek, ostrosłupów oraz stożków, tak typowych dla prowincjonalnych miast i miasteczek. Namiastki miniaturowych bardzo kosztownych ogródków, kwietników i zieleńców mają odrobić braki planistyczne i wprowadzić mikroskopijny urok natury, który wcześniej wyparto.

Kształtować należy nie tylko zieleń, ale środowisko i krajobraz, a te problemy wykraczają daleko poza krąg niewielkich i przypadkowych skwerów i małych geometrycznych parków. Łodzi i całej aglomeracji potrzeba dynamicznego wzrostu terenów zieleni o takiej organizacji i strukturze, aby stworzyły jak najlepsze warunki życia mieszkańcom i funkcjonowały sprawnie.

27 czerwca 1968 roku Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów wydał decyzję o utworzeniu Leśnego Pasa Ochronnego GOP, dla największej śląskiej aglomeracji przemysłowo-miejskiej. Dla radości i pożytku mieszkańców aglomeracji miejskiej warszawskiej powołano do życia w 1972 roku Warszawski Zespół Leśny, mający spełniać funkcję bioklimatyczną i rekreacyjno-turystyczną. A w łódzkiej aglomeracji?

Perspektywiczny plan zagospodarowania przestrzennego województwa miejskiego łódzkiego zakłada, że „na terenie zespołu lasów szczawińskich, sokolnickich, grotnickich i bełdowskich, a również w rejonie Łagiewnik, Smardzewa, Głowna, Andrespola i innych miejscowości powstaną rejony klimatyczno - wypoczynkowe". Czy i kiedy powstaną?

Sprawa zielonego pasa ochronnego jest ciągle dyskutowana i pozostaje w sferze planów. Już dziś plany powstałe przed laty są spóźnione o kilkanaście lat. Smutne resztki lasów o bardzo uszczuplonej zasobności wymagają ochrony, odbudowy i przebudowy. Przy aktualnych limitach wyrębu zmniejsza się ilość drzew. Tworzenie leśnego pasa ochronnego może odbywać się jedynie w oparciu o istniejące powierzchnie leśne i to jak najszybciej, bo sprawa to nie jutra i dziś, ale wczorajszego dnia. Mądrość człowieka winna łączyć się z mądrością natury. By żyli ludzie, muszą żyć drzewa.

JAN T. SICIŃSKI

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

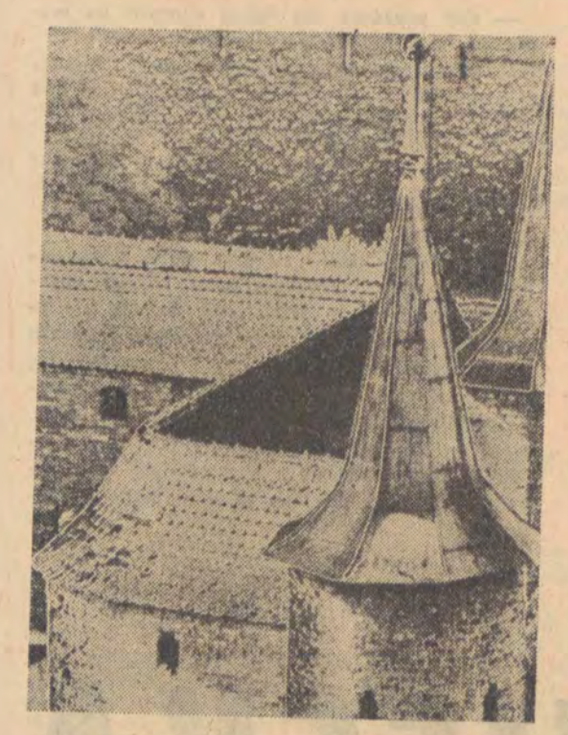

Foto: Archiwum

Ciąg dalszy ze str. 1

OBLĘŻENIE BASZTY

1.

... czerwiec był upalny, jak w czterdziestym czwartym gdy tą samą ścieżką wśród łąk, biegłem na skróty do Choborzan. Po dwudziestu latach szło mi się stateczniej, teraz syn podskakiwał. Opowiadałem mu, jak zatrzymywały mnie kobiety zgarbione przy grabieniu siana dziwiąc się, co tak gnam, przecież jeszcze front słychać... A ja po prostu nie mogłem dłużej czekać; rozniosło się po okolicy, że ruscy mają nasz Manifest PKWN, dopiero co wydrukowany. Podobno pisało tam o reformie rolnej i ja rwałem się do parcelacji.

W 1964 zboczyliśmy trochę na „ścieżkę Żeromskiego", bo syn jeszcze w pociągu do Ostrowca czytał „Popioły" i chciał porównać Sienkiewiczowską Koprzywnicę z tą, na wyciągnięcie ręki. Dalej, trzymałem się starego szlaku — miedzami, prosto do Samborca. Tam była moja pierwsza gmina, gdzie zgłosiłem się do pracy i gdzie wkrótce wybrali mnie sekretarzem komitetu. Miałem wówczas fart! Na zebraniu, gdy nie bardzo jeszcze umiałem zawojować tłumem, poparł mnie ojciec Antka, znany w okolicy ludowiec. Z Antkiem chodziliśmy przed wojną do gimnazjum w Sandomierzu.

Zaraz, co ten mój syn tu napisał? Koprzywianka? To rzeka. Pewnie kąpał się w niej. Widać zbliżaliśmy się do Śmiechowa. W tej wsi, chodząc od chałupy do chałupy namawiałem chłopów do partii. I udało się zarejestrować pierwszą komórkę. Taki byłem wtedy szczęśliwy, że aż piosenkę ułożyłem. Zaraz, jak to było... A, lepiej, nie... Dzieci moje krzywią się, że niedobre.

W Śmiechowie miał folwark szpital Św. Ducha z Sandomierza. No to myśmy w kolegą Władkiem skrzyknęli ludzi z czworaków i dalej, agitować za wstąpieniem w szeregi. Władziu był swój chłop, do zebranych zwracał się elegancko: kochani moi. Zapowiadał: teraz o zadaniach PPR powie p a n Barański.

Słucham? A, przepraszam, ja jestem innego zdania. Czternastoletni chłopiec powinien już co nieco wiedzieć o swoim kraju. To po co są lekcje wychowania obywatelskiego? Ale dobrze. Przypuśćmy, że nie wszystko z tego, co mówiłem, zrozumiał. Mógł pytać się. Mieliśmy bardzo dużo czasu. Mnie wyprawa śladami młodości była potrzebna dla uspokojenia się po tym wszystkim co zdarzyło się w pracy. Zaś dla syna — dla niego istotne mogło być na przykład to, że dowiedział się czegoś o Klimontowie. Nie piszą w książkach, że w okupację AK miała tam swój sztab. I że zaraz po wyzwoleniu, jego ojciec przemawiał do mieszkańców z balkonu w rynku. Za nową władzą agitował...

Widzę, że syn Skotniki dopisał. To też nie przypadek, że go tam zaprowadziłem. Zdarzenie z tej wsi posłużyło mi za przykład w rozmowach z moim chłopakiem o życiu. Leszek akurat przechodził pewną próbę. Z mojego powodu. Pamięta pani, jaki wyż przewalał się przez szkoły średnie w roku 1964? Pisali nawet o tym w gazetach. Leszek akurat startował do ogólniaka. I denerwował się — kilku na jedno miejsce. Kiedyś przychodzi do mnie i mówi, że inni rodzice dają dyrektorce pieniądze. A jego nikt nie obstawia. Aż uniosło mnie z krzesła. Tyle razy dzieciom tłumaczyłem, że najważniejsze mieć czyste ręce. Ja, choć latami dyrektorowałem w budownictwie nie złakomiłem się na willę z lewych materiałów, ale też dzięki temu mogę spać spokojnie. I teraz mój syn... Skończyło się na tym, że zrobiłem raban w inspektoracie, dyrektorka wyleciała z posady. Ale — synowi rodzice jego kolegów zdążyli nagadać: zobaczysz teraz to ci nie będzie w szkole lekko, nauczyciele uwezmą się na ciebie, mógł ojciec cicho siedzieć. I mały uciekał przede mną wzrokiem, jakiś taki spłoszony był...

Dlatego na rozstajach wsi powiedziałem mu, że w dorosłym życiu nieraz trzeba opowiedzieć się po jednej stronie. I że boleśnie doświadczyłem tego po raz pierwszy tu, w Skotnikach...

W czterdziestym czwartym, gdy dotarłem do dworu, nie było już dziedzica. Niemcy go zamordowali. Została tylko pani Skotnicka z małymi dziećmi.

Zapytałem się syna — domyślasz się, po co ja tam wtedy szedłem?

— Żeby im pokazać manifest.

— Nie tylko. Szedłem zburzyć bastion poddaństwa. Rozparcelować ziemię obszarników.

I opowiadam mu, co tam się działo: jak zebrani ludzie w remizie krzyczeli, że nie dadzą dziedziczki krzywdzić, ona dobra. Po chałupach chodzi, chorych wspomaga. Ja też krzyczałem ile sił w płucach, kartką na zapisy do partii machałem zza stołu, ale daremnie, bo baby, aż zapierając się w drzwiach ciągnęły swoich chłopów do domu. Rozpacz mnie ogarniała, że nie wykonam zadania, już nie wiadomo co mówić, wszystkie argumenty wyczerpane. Aż tu widzę, jedna ręka podnosi się do góry. To rządca powiada, że chciałby być sekretarzem. Do północy jeszcze kilku fornali dało się namówić; moja robota była wreszcie skończona. Ale z nerwów, z tego żalu nad panią Skotnicką, taką młodą, ładną nie mogłem usnąć do rana. A najgorsze, że miałem świadomość, iż nikt w gminie samborskiej nie powie mi nazajutrz — dobrześ chłopie zrobił. Sam musiałem się osądzać i też za długo nie medytować, bo robota czekała, w pobliskiej wsi Ostrołęce górował nad okolicą — co prawda słomianą strzechą następny dwór. Trzeba więc było napisać sobie kolejne przemówienie, nie dać się omamić nędzą dziedziczek, przeciwnie, wykorzystać ich sytuację jako dowód degeneracji klasy...

Gdy doszliśmy z synem do Bogorii, zaprowadziłem go do obejścia Teterów. Przygarnęli mnie w 44, gdym nocą nieprzytomny z silnej gorączki, zapukał do ich chałupy. A przecież mogli poszczuć psami, w tamtych niespokojnych miesiącach z zapadnięciem zmierzchu malała władza sekretarza...

Teraz tak myślę, że syn wyniósł z naszej wakacyjnej wędrówki jeszcze jedną korzyść, której wówczas nie przewidziałem. Ja przecież wiodłem go szczytami gór Świętokrzyskich, przez miejsca, które jego wyobraźnię, wrażliwego chłopaka mogły napełniać dreszczem. Chciałem, żeby zobaczył kamiennego Emeryka, kolegiatę w Opatowie i Sandomierz podobny z oddalenia do korony królewskiej. Zaś z bliska — trudno uwierzyć, ale wtedy w dzień targowy na rynku sandomierskim można było natknąć się i na ślepca z lirą! W wiele lat później, gdy syn utonął po uszy w studiowaniu historii sztuki i z wypiekami na twarzy namawiał mnie, abym wykorzystując swój dyrektorski stołek, wziął w opiekę zameczek na Dolnym Śląsku, przypomniało mi się jego dziecinne jeszcze zauroczenie katedrą sandomierską. Jakoś to nie dotarło do mnie tamtego lata — może byłam za bardzo wsłuchany w siebie, we własne wspomnienia; ja w tym kościele znałem każdy kamień posadzki bom przed wojną należał do sodalicji mariańskiej.

Kto wie, czy już wówczas, w roku 64 nie zaczął wykluwać się w głowie mojego syna ten nieprawdopodobny pomysł zamieszkania w średniowiecznej baszcie? Może stało się to w chwili, gdy chłonął wzrokiem w katedrze poczerniałe obrazy malarzy ruskich Władysława Jagiełły, tę Salomę tańczącą. A może naszło go to w kościele św. Jakuba, na malutkim chórze, skąd tak blisko do czterech pobożnych księżnych: Salomei, Kingi, Jolanty i Adelajdy.

Uszło mojej uwadze, przepuściłem. A teraz denerwuję się, bo przecież nie ma sensu pakowanie pieniędzy w jakieś zmurszałe mury. Co on na tej pegeerowskiej wsi będzie robił! Chce uciekać z uczelni? Dosyć ma zaliczania studentom pod czyjeś dyktando — proszę bardzo, z tego co słyszę, stosunki na jego wydziale nie są dobre. Ale skoro tak go ciągnie na Dolny Śląsk, nie lepiej, aby kupił mieszkanie w blokach?

Trzymajmy się jednak chronologii. Co on tam sobie dalej wypisał? Chmielnik. W marszu go minęliśmy. Chodziło mi o to, aby od tej strony dotrzeć do Kielc. Pod koniec czterdziestego czwartego też tak wędrowałem w białym pyle do wojewódzkiego miasta. Właśnie wybrano mnie na przewodniczącego Zarządu Wojewódzkiego ZWM i w głowie aż roiło się od planów, akcji. Na rogatkach Kielc dostrzegłem jakiś z daleka bielejący się napisł. Wkrótce przeczytałem: „PPR — zdrajca Polski!" Jakby mnie kto batem podciął. Biegiem puściłem się do miasta, wpadłem do diecezjalnej drukarni, zająłem ją. W dwie godziny później wszystkie parkany w mieście oklejone były afiszami o wiecu młodzieży.

— Ale draka — zaśmiał się mój syn, gdy usłyszał tę historię. I dostosował swój krok do mojego. Dłuższy czas szliśmy w milczeniu, aż ja nagle zacząłem śpiewać: „Zdobywczym krokiem idziemy w słoneczny... Syn wtórował — falsetem niekiedy, bo jeszcze przechodził mutację. Gdy już ochrypliśmy, przyznałem mu się, jak to naprawdę było z moim wyniesieniem się z Kielc. Zachorowałem ciężko, dostałem się do szpitala w ręce lekarzy, jeszcze przedwojennych, którym nie za bardzo podobałem się. Musiałem uciekać, bo już wydali na mnie wyrok. Schronieniem była Łódź...

— Jak chcesz tata — powiedział wówczas syn łamliwym głosem — to możemy tu się przeprowadzić. Ja ostatecznie znajdę sobie innych kolegów.

Oto, co wykombinował. Nieraz wieczorem, gdy wydawało mi się, że dzieci już śpią, a akurat miałem ciężki dzień w robocie, odgrażałem się przed żoną, że rzucę wszystko i pojadę do Kielc. Tam są moi dawni towarzysze, niektórzy zaszli wysoko, pomogą jakoś urządzić się od nowa... I teraz syn składał mi ofiarę z podwórkowych przyjaźni...

Wie pani, gdzieśmy zakończyli te nasze jedyne wakacje? Zaraz, tylko wezmę mapę. O tu, pod Miechowem, w Grębocinie. Tam mój ojciec przez czterdzieści lat uczył. Właściwie nie miałem Grębocina w planie. Dziadek już nie żył. Ale, gdy tak rozmawiałem z synem, nagle stwierdziłem, że on niewiele wie o dziadku. Został mu w pamięci obraz gderliwego, kwękającego starca. Zrazu próbowałem sam jakoś przywrócić dziadkowi inną twarz; opowiadałem, jaki ogromny wydawał się w papasze zimą 1918 roku, zaraz po powrocie z Rosji, gdzie był komisarzem ludowym. Mały słuchał jak o kimś obcym...

Więc pojechaliśmy do Grębocina. Tam, w każdej chałupie wspominano go serdecznie: a to jak straż zakładał, to znów do teatrzyku role rozpisywał. Jak w okupację zakazane książki dzieciom podtykał, przez co Niemcy postawili go pod ścianą, ale umknął śmierci, dzięki partyzantom. Jeden z jego uczniów przypomniał sobie, że wiosną 39 roku ojciec oddał wszystkie swoje oszczędności na Fundusz Obrony Narodowej. Już po klęsce wrześniowej, gdym przyniósł do domu płaszcz wojskowy od kogoś ze wsi, z zamiarem przerobienia na palto, dziadek stanowczo sprzeciwił się. — Jeszcze będzie naszym żołnierzom potrzebny — zawyrokował. I tak zostałem na zimę w kusej marynarce...

Syn mój słuchał, słuchał, aż w którejś chałupie przedstawił się od progu: jestem wnuk Józefa Barańskiego.

I to był koniec wakacji.

2.

— Ten mój drugi krach? Zgadza się, wtedy mogłem już rozmawiać z dziećmi jak z dorosłymi. Oboje studiowali. I pewnie byłoby mi lżej. To przecież spadło na mnie tak nagle: wybraliśmy się z rodziną na urlop do Francji. Po raz pierwszy w życiu. Wracam wypoczęty do biura, a sekretarka dziwna jakaś, półsłówkami odpowiada. Chcę wejść do gabinetu dyrektora, ona cedzi przez zęby, że zajęty. — Jak to — dziwię się — dla swojego zastępcy nie ma czasu? Przecież muszę wiedzieć, co działo się podczas mojej nieobecności.

Nazajutrz wszystko zrozumiałem. Ktoś inny już czekał na moje miejsce. Kumpel naczelnego. Tylko nie było co mi zarzucić. Aż słyszę: — Za miękki jesteś jak na wicedyrektora poważnego zjednoczenia.

Za miękki — bo hufce organizowałem, choć nikt nam tego nie kazał. Zbudowałem chłopakom porządny hotel, zaklepałem dla nich klucze do własnych mieszkań. Nie w smak było mojemu zwierzchnikowi, za bardzo rozniosło się już i z innych miast przyjeżdżali po wymianę doświadczeń.

Ja za miękki! Nie, to się w głowie nie mieściło. A kto pogonił chłopaków, gdy odmówili pójścia do roboty, kto wskakiwał między nich, gdy w hotelu nożami do siebie rzucali?

Tak, na pewno wciągnąłbym w swoje kłopoty dzieci, bo nie mogłem sobie miejsca znaleźć, gdyby nie wzgląd na syna.

On wówczas bez opamiętania działał w uczelnianym ZSP. Moja krew. Jak już szedł, to na całego...

Aż kiedyś przychodzi do mnie i mówi: — Chyba się ojciec wypiszę, nie mogę patrzeć na draństwa. Okazało się, że tuż przed wakacjami zapisało się do ich organizacji kilku cwaniaków — tylko po to, aby wyjechać na tanią wycieczkę zagraniczną. O jednym z nowo przyjętych już wcześniej szeptano na wydziale, że bezprawnie bierze stypendium na fałszywe zaświadczenia o zarobkach ojca.

Syn nie mógł się z tym wszystkim pogodzić. A gdy koledzy podkpiwali sobie z niego, przygadując: aleś naiwny bracie, zaczął już wszędzie węszyć nieuczciwość.

Miałem mu więc dołożyć, że i mnie wygryźli? Moje dzieci i tak nie potrafią iść przez życie z tupetem. Może i osiągną co zamierzały — syn doktorat, a córka drugi fakultet — ale ciężką pracą, bez żadnej taryfy ulgowej. Niedaleko widać pada jabłko od jabłoni. Czyż to ja raz albo dwa słyszę od znajomych, że nie umiem się urządzić, z tytułem magistra w gospodarce komunalnej ugrzązłem. Milczę, co się będę tłumaczył, że poszedłem tam, gdzie najbardziej brakowało fachowców. Najważniejsze, że dla dzieci nie jestem frajerem, i nie mają do mnie pretensji o brak willi lub samochodu. A że czasem łapię ich na porozumiewawczych spojrzeniach, takich uśmieszkach, gdy zaczynam mówić o mojej ziemi kieleckiej? Każdy ma swoją wieżę.

A... o tym, jak chcieli mnie w 64 r. wyrzucić z partii, opowiedziałem gdzie indziej. Niedawno. W kole ZBoWiD-u miałem jako lektor komitetu referat o zabezpieczaniu dyscypliny społecznej i zawodowej. Podczas dyskusji, jakiś starszy mężczyzna powiedział: bardzo to pięknie, ale w życiu bywa inaczej. Nie zawsze można na organizację liczyć. Jak się w niej zagnieżdżą jednostki nieuczciwe a wpływowe, tyle zła narobią. Czy towarzyszowi lektorowi znane są i takie sprawy?

Wtedy powiedziałem o swojej zadrze. Od początku — gdy oskarżono mnie, że działam na szkodę zakładu do końca, gdy wysoko bo wysoko, ale dobiłem się wreszcie sprawiedliwości.

HELENA KOWALIK

BOLESŁAW WOJEWÓDZKI

LEKCJA

W końcu lipca 1944 roku otrzymałem od porucznika Lassaka oryginał tekstu Manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Przestudiowałem go dokładnie.

Moi uczniowie najstarszego kompletu Tajnej Organizacji Nauczycielskiej dobrze wiedzieli, co się w świecie dzieje. Jeden z nich, Jerzy, ze wsi Felgustów, wstał i oświadczył:

— Panie profesorze, Hitler kaput. Deutchland liegt an allen Fronten. Powstał Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, wybuchło Powstanie Warszawskie. Prosimy o omówienie bieżącej sytuacji wojennej i politycznej.

Osiem par oczu patrzyło na mnie wyczekująco.

— Jak nasz pan zareaguje?

— O faktach historycznych wielkiej wagi trudno dyskutować w czasie ich rozgrywania — powiedziałem wymijająco.

Moi uczniowie, wszyscy w służbie ruchu podziemnego, nie spodziewali się takiej reakcji.

— To my... — zaczął Jerzy — już pójdziemy...

— Zaraz, zaraz, nie bądźcie w gorącej wodzie kąpani! Siadajcie!

Za chwilę wrócę. — Z kuchni przyniosłem oryginał Manifestu PKWN. Podałem go Jerzemu.

— Obejrzyjcie dokument kolejno. Zorganizujcie, na razie, czytanie grupowe. Uformujcie dwie czwórki.

Czytają. Głowa przy głowie. Pozostali śledzą dokument z daleka.

Upłynęło sporo czasu zanim pierwsza grupa przekazała dokument drugiej grupie. Zaróżowiły się policzki uczniów. Pierwsza grupa chciała już dyskutować. Ale nie można było przeszkadzać innym.

Tego dnia lekcje skończyły się o godzinę później.

— Jutro — zapowiedziałem odchodzącym — wszystkie lekcje poświęcimy na ponowne czytanie tekstu i jego omówienie.

Uczniowie nie śpieszyli się do wyjścia.

— Moi drodzy, jak już powiedziałem, do jutra. Opuszczajcie mieszkanie, jak zawsze, wy przez ogród, wy przez kuchnię, a wy Staromiejską.

Po ich wyjściu zrobiła się w domu cisza. Żona poszła z dziećmi na spacer. Zacząłem na nowo czytać półgłosem Manifest PKWN. Uznałem go za znakomite orędzie do wszystkich Polaków w kraju i za granicą, wzywające ich do walki o wyzwolenie narodowe i społeczne, nie samopas, nie, ale przy boku ZSRR. Reforma rolna, nacjonalizacja podstawowych gałęzi przemysłu, zmiany ustawodawcze, organizacyjne, administracyjne, gospodarcze, socjalne, oświatowe i kulturalne, to podstawowe wykładniki do demokratyzacji życia w Polsce.

Tego wieczora długo nie mogłem zasnąć. Układałem poszczególne człony konspektu. Liczyłem się z wieloma zaskakującymi pytaniami, z wieloma odmiennymi ocenami faktów. Przecież nie dopuszczę, aby dyskusja zeszła na manowce. Zresztą miałem za sobą 12-letnią praktykę pedagogiczną. I co najważniejsze — młodzież wierzyła mi, miałem u niej autorytet. Jednak, przyznawałem, przewracając się na tapczanie, moi uczniowie posiadają solidną wiedzę o współczesnych wypadkach historycznych i politycznych. Są nie tylko dobrymi matematykami, są równie dobrymi humanistami.

Usnąłem około godziny trzeciej nad ranem. Dlaczego mam się martwić? — pytałem samego siebie, zasypiając. Przecież przy każdej okazji starałem się wytwarzać atmosferę kultu i miłości dla Polski. „Polska to tu właśnie" — wskazywałem ręką lewą pierś, charakteryzując „Wesele" Stanisława Wyspiańskiego. Kiedy indziej znów, przy omawianiu twórczości Stefana Żeromskiego, wizję przyszłej Polski, jako symbolicznej ojczyzny „szklanych domów", ojczyzny rozwijających się talentów pod mecenatem władzy ludowej, ojczyzny bez katowanych na śmierć Janków Muzykantów, bez Antków w klatce, bez dzieci z „Piwnicznej izby", lecz śmiałych Cezarych Baryków, ojczyzny powstałej na miejscu krzywdy i nienawiści, ojczyzny na starych, odwiecznych polskich ziemiach, z których Niemcy głosili „meinkampfowe" slogany o tysiącletniej Rzeszy.

Uczennice i uczniowie przybyli na lekcję podnieceni i zaintrygowani. Lekcja zaczęła się od czytania Manifestu. Zgodziliśmy się na natychmiastowe objaśnienia tekstu. Cieszyłem się, że wyczerpujące komentarze dawali często sami. Wspólnie spróbowaliśmy zarysować wizję nowej Polski. Nie były to sprawy łatwe. U niektórych uczennic i uczniów zaobserwowałem powątpiewanie.

Była to lekcja odmienna od innych. Cechowała ją szczególna atmosfera. Głęboki patriotyzm, radość ze zbliżającego się zakończenia wojny, bliskiego wyzwolenia. Lekcja udała się znakomicie. Młodzież zrozumiała, że organizująca się ojczyzna staje się dla niej matką, nie macochą, że obywatel nowej ojczyzny będzie bratem dla każdego obywatela, że Polska ma stać się państwem zdrowych, mądrych, wykształconych, żyjących w dostatku i szczęściu ludzi.

I znów przedłużyliśmy lekcję.

Dając znak zakończenia podkreśliłem:

— Dzisiaj jestem z was wyjątkowo zadowolony, nie tylko, jak w naszym hymnie, będziecie Polakami, ale „jesteście Polakami".

— Historia magistra vitae est — szepnęła Ania.

— Z naszej historii wyciągnęliśmy właściwe wnioski — podkreślił Marek, wysiedleniec z Poznańskiego.

— Sumą tych wniosków jest Manifest PKWN — zamknął uwagi Ryszard.

Minęło 35 lat. Miło jest wracać myślą do chlubnych chwil. Dzisiaj moi uczniowie, uczniowie tajnych kompletów nauczania podczas okupacji hitlerowskiej, piastują wysokie stanowiska, są naukowcami, budują Polskę według koncepcji Manifestu PKWN, według uchwał zjazdów PZPR.

NASZA ROZMOWA

z dr med. STANISŁAWĄ SOBIEŃ-KOPCZYŃSKĄ ordynatorem Oddziału Interny Dziecięcej w Szpitalu Chorób Płuc w Łagiewnikach

ZDROWIE DZIECKA

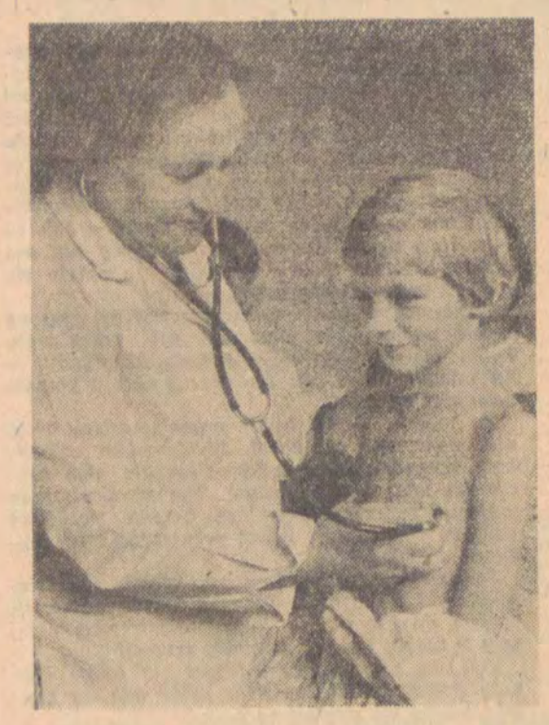

Wdraża zdyscyplinowanie. I dlatego, jako stary pediatra, nie mogę się np. zgodzić z systemem karmienia dziecka w dowolnych godzinach i dowolnych ilościach, jak ostatnio zalecają to pediatrzy w Stanach Zjednoczonych.

— Dlaczego?

— Ponieważ ten okres rozwoju dziecka rzutuje na całe jego dorosłe życia. Przekarmianie może zadecydować o późniejszej otyłości i towarzyszących jej kompleksach.

— Pani lubi dzieci?

— Bardzo. Przez wiele lat prowadziłam oddziały niemowlęce i do dzisiejszego dnia największym sentymentem darzę niemowlęta.

— Obecnie jest Pani ordynatorem Oddziału Wewnętrznego Chorób Dziecięcych ZOZ Pulmonologicznego w Szpitalu w Łagiewnikach. No, niełatwo powiedzieć to jednym tchem...

— Tym bardziej, że trzeba jeszcze dodać: dla dzieci od lat 3 do 18, zamieszkałych w dzielnicy Bałuty. I teraz jest dobrze.

— Ile lat pracuje Pani w specjalności pediatry?

— Trzydzieści dwa.

— Kawał czasu. Dzieci, które Pani niegdyś leczyła, teraz mają już z pewnością własne dzieci.

— A tak. I zapraszają mnie na śluby, na chrzciny... Czas leci.

— Na jakie choroby zapadają dzieci najczęściej w tym przedziale wieku?

— Obok zaburzeń układu oddechowego, szczególnie dotkliwych i częstych u dzieci w wieku przedszkolnym, leczymy w szpitalu dużo dzieci chorych na nerki oraz chorobę wrzodową żołądka i dwunastnicy. Ta ostatnia wybitnie wzrosła wśród dzieci w minionym dziesięcioleciu. Zapadają na nią nawet trzyletnie maluchy.

— To niepokojące, jeśli zważyć, iż rokowania na wyleczenie z choroby nerwowo-wrzodowej są nikłe. Jakie czynniki wpływają na wzrost tego schorzenia?

— Obok pewnej predyspozycji dziecka uwarunkowanej genetycznie, także niewłaściwe i nieregularne odżywianie, odgrzewane posiłki oraz napięcia psychiczne — stresy w domu, stresy w szkole.

— O ile mi wiadomo, Pani dorobek naukowy obejmuje sześćdziesiąt prac ogłoszonych drukiem?

— Ściślej mówiąc — pięćdziesiąt dziewięć, gdyż ostatnią skończyłam niedawno i wysłałam właśnie do druku.

— Jakich zagadnień dotyczy ostatnia Pani praca?

— Choroby wrzodowej żołądka i dwunastnicy u dzieci. Ale większość traktuje o astmie oskrzelowej u dzieci łódzkich. Napisałam je, opierając się na materiale łódzkim, na podstawie badań prowadzonych w Łodzi przez długie lata.

— Na jakie choroby zapadają dzieci łódzkie najczęściej?

— Na nieżyty dróg oddechowych, i to już od wczesnego dzieciństwa. Dzieci łódzkie chorują częściej i ciężej na nieżyty, niż dzieci w innych rejonach kraju. Przyczyna: zanieczyszczenie powietrza atmosferycznego dwutlenkiem siarki. Kominy starych łódzkich fabryk są, niestety, zbyt niskie, a filtry nie zawsze efektywne. Niebagatelną rolę odgrywa także duże przeciętne zagęszczenie śródmieścia: 19.712 osób na kilometr kwadratowy. A ponadto miasto jest w ogóle gęsto i niewłaściwie zabudowane, wzdłuż dawnych dolin rzek, co ogranicza skuteczność przewiewu.

— Dlaczego w centrum Pani naukowych zainteresowań znalazła się astma oskrzelowa u dzieci?

— Zadecydował o tym mój sentyment do dzieci. Pragnienie przyjścia im z pomocą w tej bardzo ciężkiej chorobie. Ulga, jaką im przynoszę w cierpieniu sprawia mi głębokie zadowolenie, daje poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

Od 1954 roku kierowałam w Łodzi poradnią dla dzieci chorych na astmę. Była to w owym czasie jedna z pierwszych tego rodzaju poradni w Polsce i pierwsza w Łodzi. Dzieci, które przyjmowałam wtedy w poradni, były już kalekie, miały zdeformowane klatki piersiowe, bardzo cierpiały. Kierowaliśmy je do szpitala i często byłam przy nich podczas ciężkich ataków duszności, kiedy były same i przeżywały głęboki strach. Z upływem lat poradnia nabierała rozpędu, przybywało coraz więcej skutecznych leków, ale też i coraz więcej dzieci z nieżytami oskrzeli. Nowym i bardzo w owym czasie skutecznym lekiem były hormony z kory nadnercza. Stosowałem je ambulatoryjnie przez wiele lat z wielkim niepokojem, ponieważ nie było jeszcze wtedy literatury na temat jego skuteczności i skutków ubocznych.

— I?

— I po pewnym czasie, kierowana lekarską ciekawością i niepokojem o wyniki mego leczenia, przebadałam pod kątem fizycznym i psychicznym grupę około 500 najciężej chorych dzieci, którym szczególnie często podawano preparaty hormonalne. Odetchnęłam: wyniki leczenia były zadowalające, ubocznych skutków kuracji nie stwierdziłam.

— W związku z tymi badaniami ogłosiła Pani pracę naukową na temat astmy u dzieci?

— Nawet kilka prac. Ale najbardziej obszerna i pracochłonna dotyczyła rozmieszczenia tych dzieci chorych na astmę na terenie Łodzi.

— Geografia choroby w skali miasta?

— Właśnie. W ciągu ponad dwudziestu lat pracy w poradni dla dzieci chorych na astmę przebadałam i leczyłam ponad cztery tysiące dzieci. Otóż, każde z nich naniosłam na specjalną mapę Łodzi, na odpowiedniej ulicy, w odpowiednim punkcie siatki. Okazało się, że mapa zagęszczenia pyłów w Łodzi nakładała się bardzo dokładnie na mapę miejsc zamieszkania tych dzieci. I rzeczywiście, najwięcej chorowało na astmę w śródmieściu, na Widzewie i na ulicach wylotowych z Łodzi — w najbardziej zapylonych rejonach miasta.

— Wyobrażam sobie, że teraz z kolei trzeba było, na tych samych czterech tysiącach dzieci, stwierdzić, co wywoływało astmę: mechanicznie drażniące pyły czy też czynnik alergiczny...

— Właśnie, właśnie. Przeprowadzałam takie badania, poddając testom te same dzieci na kurz z Łodzi i na kurz spoza Łodzi. Wyniki były bardzo różne: 19 procent dzieci było uczulonych na kurz w ogóle i aż 49 proc. na kurz „łódzki". W trakcie tych badań stwierdziłam także, że duży wpływ na zachorowalność dzieci na tę chorobę wywiera zawód rodziców. Prześledziłam obraz choroby dzieci, których rodzice pracują bezpośrednio w produkcji oraz tych, których rodzice byli zatrudnieni w administracji lub gdzie indziej, w każdym razie nie w produkcji. Stwierdziłam, iż ataki astmy mają częściej dzieci rodziców zatrudnionych bezpośrednio w produkcji i one też ciężej przechodzą tę chorobę.

— Iście benedyktyńska praca. Astmę można by więc nazwać chorobą miast przemysłowych.

— Okazało się, że nie. Nowością jest pojawienie się astmy na wsi, w większym stopniu, niż kilkanaście lat temu. Wydaje się, iż należy to wiązać z pestycydami, ale ile jest w tym prawdy, trudno na razie powiedzieć, z braku pełnej dokumentacji tego zjawiska. Kontynuujemy prace w tym kierunku i, być może, już w przyszłym pięcioleciu będę mogła zamknąć obszerną pracę na temat epidemiologii astmy na terenie Łodzi i byłego województwa łódzkiego.

— Można zapobiegać tej chorobie?

— Tak, można i trzeba. Przede wszystkim infekcjom — katarom, grypom, przeziębieniom oraz deformacjom klatki piersiowej. Dzieci ze schorzeniami alergicznymi są niezwykle podatne na infekcje zarówno bakteryjne, jak i wirusowe. Zakażenia te, obok stanu zapalnego w różnych narządach, wywołują dodatkowo odczyny alergiczne w obrębie dróg oddechowych. Stąd w okresach zdrowia uczymy dzieci prawidłowego oddychania, a przede wszystkim wydychania. Dlatego to, obok leczenia farmakologicznego, tak wielką wagę przywiązuje się do zapobiegania infekcjom przez odpowiedni tryb życia, hartowanie, podawanie szczepionek, gimnastykę oddechową, a w razie konieczności — korekcyjną. Na podstawie mojej długoletniej praktyki mogę z całą odpowiedzialnością powiedzieć, że właściwa profilaktyka daje doskonałe wyniki. Oczywiście, obok tego — mocno to podkreślam — należy utrzymywać stały i ścisły kontakt z lekarzem specjalistą.

— Czy włókna sztuczne są silnym alergenem? Pytam o to, bo w Łodzi stykamy się z nimi na każdym kroku.

— Otóż nie. Wykonywałam ostatnio testy z czternastoma surowcami, które przerabia się w Łodzi. Obok kilku gatunków wełny znalazły się w testach m. in. elana, polen, dipolen, argona. Stwierdziłam, iż na te włókna sztuczne dzieci są mniej uczulone, niż na inne czynniki uczulające. Wyjątek stanowiły dzieci w wieku 6 lat, bardzo uczulone na anilanę.

— Dlaczego akurat sześciolatki?

— To właśnie było bardzo ciekawe. Okazało się, że w tym czasie rzucono w Łodzi do produkcji sweterki dziecięce z anilany dla przedszkolaków. I oto sześciolatki zetknęły się z nimi masowo i nabrały wrażliwości właśnie na to włókno. Tak więc w Łodzi dominują nadal, przynajmniej do tej pory, jako alergeny — kurz domowy, wełna i bakterie.

— Wykrycie przyczyn astmy wymaga testowania, co jest zabiegiem nader skomplikowanym. Czy można takie testy wykonywać w Łodzi?

— Dyrektor ZOZ Pulmonologicznego w Łodzi, pan doktor Warda, zakupił pewną ilość testów za granicą i dlatego w naszym oddziale i w innych oddziałach w szpitalu w Łagiewnikach takie testowania możemy wykonywać. O ile wiem, wykonuje je także Instytut Pediatrii AM przy ul. Spornej. Gwoli ścisłości dodam, iż w obu wymienionych ośrodkach wykonuje się testy w ograniczonym zakresie. Natomiast nie mamy w Łodzi w ogóle pracowni diagnostycznej, która by mogła wykrywać ambulatoryjnie wrażliwość dzieci i dorosłych na kurz uliczny, pył, pyłki kwiatów, włókien, kurz domowy, pierze... Niestety.

— Czy poradnie dla dzieci chorych na astmę są we wszystkich dzielnicach Łodzi?

— Tak. Są dobrze zorganizowane i rozwijają skuteczną działalność. Brak im jednak zaplecza diagnostycznego. Bardzo dobrze pracuje nasz ZOZ Pulmonologiczny.

— Takie testy można produkować w kraju? Czy Łódzki Związek do Walki z Astmą, którego jest Pani przewodniczącą, wyszedł z taką propozycją?

— Robiliśmy takie starania wraz z oddziałem krakowskim, rozwijającym bardzo energiczną i pożyteczną działalność. Jednak nie udało się sfinalizować tych starań i w kraju nie produkujemy ani testów diagnostycznych, ani leczniczych, a sprowadzanie ich z zagranicy jest zbyt kosztowne. O ile mi wiadomo, mogłyby się podjąć takiej produkcji Krakowskie Zakłady Surowic i Szczepionek. W każdym razie były do tego skłonne kilka lat temu.

— Więc dlaczego nie podjęły tej produkcji?

— Nie wiem.

— Zupełnie niezrozumiałe. Pani Doktor, czy występują w Łodzi choroby zakaźne wśród dzieci?

— W bardzo małym stopniu. Niektóre z nich zostały niemal całkowicie zlikwidowane dzięki stosowaniu szczepionek. Nie mamy dziś błonicy, choroby Heinego-Medina, gruźliczego zapalenia opon mózgowych, zmniejsza się liczba zachorowań na gruźlicę. Ostatnio mamy nawet mniej zachorowań na odrę, która dawała sporo powikłań. Uważam to za ogromną zdobycz pediatrii.

Kolosalnym osiągnięciem pediatrii w Polsce jest stworzenie całego ciągu bardzo dobrej, rozgałęzionej opieki rejonowej nad niemowlęciem, nad dzieckiem w wieku przedszkolnym i nad uczniem w szkole. Ta ostatnia pozostawia wprawdzie jeszcze sporo do życzenia, ale jest to tylko kwestią czasu i sprawniejszej organizacji tej opieki. Bezsprzecznym osiągnięciem jest pełna dostępność leczenia dziecka przy pomocy wszystkich możliwych środków.

— Dodajmy do tego jeszcze 16-tygodniowy płatny urlop macierzyński i trzyletni bezpłatny.

— Trzyletni urlop macierzyński stwarza matce możliwość wychowywania dziecka w niezmiernie ważnym okresie jego rozwoju.

— Pani Doktor, powiedziano mi, że w ubiegłym roku odwiedzała Pani półkolonie w rejonach podległych ZOZ — Bałuty, organizowane głównie dla dzieci ze środowisk zaniedbanych.

— To prawda. A kto panu o tym powiedział?

— Tajemnica służbowa. Powiem Pani więcej: podczas tych wędrówek udało się Pani wyłowić dzieci chore i zagubione, które znajdują troskliwą opiekę w szpitalu i które przywraca się pogodnemu dzieciństwu.

— Fakty odpowiadają prawdzie, porucznika Colombo... Żarty na stronę, chciałabym, żeby tak było, jak pan to powiedział. Ale przecież wszystko to jest zwykłą ludzką sprawą i nakazem lekarskiego powołania.

— Właśnie — powołania, Pani Doktor.

— Ale, jak już o tym mowa, to pragnę powiedzieć, że uczestniczy w tym cały zespół naszego oddziału, wszyscy moi ofiarni koledzy, lekarki i pielęgniarki, cały personel opiekuńczy, a patronuje nam w tym dziele dyrekcja naszego szpitala.

— Wyznam Pani prawdę: to rodzice tych dzieci mówili mi o tym. Ostatnie pytanie: Jakiego prezentu życzyłaby Pani łódzkim dzieciom w Międzynarodowym Roku Dziecka?

— Jeśli już wolno pomarzyć, to miałabym takie dwa prezenty. Jeden to otwarcie w Łodzi pracowni diagnostycznej do ambulatoryjnego wykrywania wrażliwości dzieci na alergeny. Drugi — ulicę Sporną, przy której mieści się Instytut Pediatrii AM, przemianować na „ulicę prof. Stanisława Popowskiego". W latach pięćdziesiątych, nieżyjący już od dawna profesor uruchomił pierwszą w Łodzi klinikę dziecięcą i nadał kierunek całej łódzkiej pediatrii. Byłoby to godnym uczczeniem zasług tego wybitnego uczonego i wielkiego przyjaciela łódzkich dzieci.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

Dr S. Kopczyńska z personelem i dziećmi

Foto: R. Łucyszyn

Pięć zasad Shotokan:
— rzecz w tym, aby doskonalić charakter,
— rzecz w tym, aby rozwijać siłę ducha,
— rzecz w tym, aby bronić prawidłowości drogi,
— rzecz w tym, aby szanować etykietę,
— rzecz w tym, aby gorącość nie przysłaniała męstwa.

Każda z tych zasad jest pierwsza, każda jednakowo ważna, każda najważniejsza. Nie ma więc: po pierwsze, po drugie, po trzecie... Wszystkie są po pierwsze.

Co to jest Shotokan?

Sho — znaczy sosna.

To — znaczy fala.

Kan — znaczy dom albo świątynia.

Sensei Gichin Funakoshi tak nazwał swoje Dojo. A sensei — znaczy mistrz. A dojo — znaczy sala.

1.

Wszystkiemu winien jest nasz redakcyjny fotoreporter Ryszard Łucyszyn, który uznał, że to mogą być znakomite zdjęcia i tak długo molestował, namawiał, zachęcał, aż zdecydowałam się którejś niedzieli wybrać się z nim do sali Chojeńskiego Klubu Sportowego „Komunalni".

— **Zobaczysz — mówił Rysiek — to jest fantastyczne!**

Zobaczyłam. Czy było fantastyczne? Nie powiem. Było dziwne. Sama młodzież obojga płci. Młodzież na trybunach, młodzież pilnowała porządku, młodzież na parkiecie, młodzież sędziowała, młodzież walczyła. Odbywały się bowiem **Mistrzostwa Polski KARATE SHOTOKAN.**

Bardzo to były dziwne mistrzostwa. Przynajmniej dla mnie. O karate słyszałam różne dziwne rzeczy, ale — przyznaję — pierwszy raz miałam okazję zobaczyć, jak to wygląda w mistrzowskiej walce. Młodzi ludzie kłaniali się sobie, sędziemu, potem padała jakaś nieartykułowana komenda i ruszali do walki. Ale i walka była dziwna.

Dla laika judo, kung-fu, shoringi-kempo, taekwondo, karate są podobne, gdyż uważa on to za sposoby przeciwstawienia się agresji i możliwość pokonania silniejszego, a nawet uzbrojonego przeciwnika przy pomocy wyuczonych chwytów czy uderzeń. Okazuje się jednak, że każda z tych sztuk walki wyrosła z innego podłoża kulturalnego, posiada inną technikę, a poza tym jest to coś więcej niż tylko forma walki.

Na parkiecie sali gimnastycznej ChKS „Komunalni" młodzi ludzie skakali do siebie wydając gardłowe okrzyki. Sędziowie — czterech siedziało w rogach, a jeden w środku, coś jak „sędzia ringowy" — machali chorągiewkami. Czasami zbierali się w gromadkę i szeptali. Zawodnicy znów się kłaniali, sędzia składał ręce we wschodnim powitaniu i wszystko zaczynało się od nowa.

Najbardziej zaskoczyło mnie to, że tłumnie zgromadzona publiczność reagowała z pełnym zrozumieniem tego, co się dzieje na parkiecie.

A więc tak wygląda walka karate.

2.

Karate oczywiście narodziło się w Japonii. Ale tylko współczesne karate, którego twórcą był sensei Gichin Funakoshi, zmarły w 1957 roku. Właściwe karate, jako forma walki narodziło się na Okinawie i było skierowane przeciw... Japończykom. Japończycy w XVIII wieku zajęli Okinawę i zakazali mieszkańcom wyspy posiadania jakiejkolwiek broni. Nie wolno było produkować nawet mieczy potrzebnych do celów rytualnych. Nie wolno było przywozić broni z zewnątrz. Mieszkańcom wyspy pozostały tylko gołe ręce. Nauczyli się więc mistrzowsko posługiwać rękoma. Za wzór posłużyła im sztuka walki mnichów i wojowników chińskich.

Bezbronne ręce uczynić śmiercionośną bronią mogli tylko ludzie zdesperowani do ostateczności. I uczynili. Ale też i dziś, aby umieć posługiwać się karate nie wystarczy tylko doskonalić ciało, trzeba też doskonalić ducha, siłę woli i charakter.

3.

Opowiada się legendy o tym, jak karateka potrafi kantem dłoni zabić, jak rozbija deski, a nawet przełamie jednym uderzeniem cegłę czy betonową płytę.

Sensei Kenji Tokitsu powiedział Catherine David z „Le Nouvel Observateur":

— „Każdy może rozbijać cegły. Wszyscy ludzie dysponują siłą wystarczającą do tego. Jeśli ktoś jest bardzo silny, to może tego dokonać, nawet jeśli nigdy nie uprawiał karate. Ale to zależy od grubości cegieł...

Oczywiście kursują różne legendy. Mówią, że niektórzy mistrzowie karate potrafią rozbić kilka warstw cegieł czy ceglany mur. To niewykluczone, ale w karate nie o to chodzi".

Właśnie, a o co chodzi?

Kiedy sensei Gichin Funakoshi tworzył współczesną wersję karate, nie traktował jej jako sportu. Była to wówczas praca z makiwarą —, przyrządem do ćwiczenia siły uderzeń i cała dość skomplikowana seria ćwiczeń. Chodziło bowiem wówczas nie tyle o przygotowanie się do mającej nastąpić walki, ale o podtrzymanie zdrowia i siły fizycznej. Dopiero później, stopniowo i to pod naciskiem uczniów stary mistrz karate wprowadził walkę z realnym przeciwnikiem, słowem przychylił się do tego, aby karate stało się też dyscypliną sportu.

Dziś zawody karate rozgrywają się w dwu konkurencjach: kumite — czyli walka sportowa, a więc walka z realnym przeciwnikiem, walka, która jest punktowana i oceniana przez sędziów — oraz kata — formalne ćwiczenia karate, ale tak traktowane jakby była to walka z realnym przeciwnikiem, którego wprawdzie nie ma, ale którego karateka musi sobie wyobrazić i uwierzyć w niego. Walka ta też jest oceniana i punktowana.

Kiedy byłam na **Mistrzostwach Polski KARATE SHOTOKAN**, wi-

działam dziewczęta, które jakby walczyły z cieniem, atakowały, odstępowały, zadawały nie istniejącemu przeciwnikowi szereg ciosów i uderzeń. One przygotowywały się do walki w konkurencji kata. Dziewczęta bowiem dopuszcza się tylko do konkurencji kata.

4.

Sztuka walki karate polega na precyzji. Kenji Tokitsu mówi:

— „Ciało ludzkie jest delikatne, ma swoje słabe punkty. Techniki walki są wypracowane pod kątem istnienia tych słabych punktów, które ma każdy człowiek. Jeśli uderza się na oślep, nie biorąc tego pod uwagę, to wszystko na nic. Rzecz w tym, żeby znać nie tylko wrażliwe punkty przeciwnika, ale i własne. W tym sensie, karate jest samoobroną".

Karateka uderza z siłą 700 kg na cm kwadratowy. Uderza w słaby punkt przeciwnika, ale tylko wtedy, kiedy broni swego życia. Na zawodach nie wolno mu uderzyć przeciwnika, cios musi być tak wyprowadzony, aby zatrzymał się tuż przed ciałem, aby tylko dotknął kimona. Wymaga to ogromnej precyzji. Wymaga to koncentracji, dyscypliny, długotrwałych ćwiczeń.

Dla laika treningi karateków mogą wydać się przerażające.

5.

Kiedy karate zawitało do Polski i wzbudziło zainteresowanie, narodziły się też obawy, że różni chuligani zechcą nauczyć się sztuki walki karate i to może stać się bardzo niebezpieczne. Zechcieli, ale nic im z tego nie wyszło. I to z powodów psychologicznych. Na treningu karate trzeba bezwzględnie podporządkować się trenerowi. Do trenera mówi się: mistrzu. Przed każdą rozmową trzeba złożyć ukłon. Karateka dobrowolnie podporządkowuje się kodeksowi karate i to nie tylko w czasie treningu. Zawsze. Nie wolno mu palić papierosów, pić alkoholu, zaczepiać ludzi, ani słabszych, ani silniejszych. Chuligani tylko udają ludzi twardych, ich agresywność jest tylko pozą, pod którą często kryje się słabość i tchórzostwo. Problem rozwiązał się sam. Na ogół na stu chętnych, którzy przystępują do treningów karate, zostaje 10, którzy wytrzymują trudy treningu.

Trening jest bowiem nękający, angażujący całe ciało. Jest to nie tylko trening ciała, ale i woli. Na przykład bieg boso po żwirze, albo zimą bieg boso po śniegu. Trzeba to wszystko wytrzymać. Psychicznie przede wszystkim. Albo ćwiczenie „pompek", ale na kostkach u rąk. Aż do krwi. I cieknąca ze startych kostek krew nie może być powodem do przerwania treningu.

Dlaczego młodzież garnie się do ćwiczenia karate?

— Bo chce się sprawdzić — mówi Włodzimierz Kwieciński, który jest instruktorem karate i szkoli nie tylko młodzież w Polsce. Niedawno wrócił właśnie ze Związku Radzieckiego, gdzie szkolił tamtejszych karateków.

6.

Karate przywędrowało do Polski siedem lat temu. W 1973 roku polskim karatekom przyszli z pomocą instruktorzy z CSRS — Ivan Vicek i Josef Zverin, a także instruktorzy z Austrii — Wolfgang Hartinger i Kurt Koehler. W Łodzi w 1971 roku przebywał japoński instruktor karate — Chiyomara Shimodo. On też pomógł w trenowaniu polskich karateków. Obecnie w Polsce jest 80 sekcji karate shotokan. Oprócz tego w Polsce trenuje się karate kyokushinkaj. Niedawno odbyły się Mistrzostwa Polski KARATE KYOKUSHINKAJ w Elblągu.

W Łodzi karate shotokan uprawia obecnie około tysiąca osób. Karate ćwiczy się w Łódzkim Klubie Karate, Akademii Medycznej i TKKF.

— Wszystko robimy społecznie — mówi Włodzimierz Kwieciński — **Wprawdzie każdy ćwiczący wpłaca kwartalnie na potrzeby sekcji 200 zł, ale jest to mało, jak na nasze potrzeby. Dotację też mamy niewielką. W Wojewódzkiej Federacji Sportu — tylko dzięki uprzejmości — mamy do dyspozycji dwa razy w tygodniu telefon i biurko. Ale cały nasz dobytek klubowy, książki, filmy, taśmy magnetofonowe i inne rzeczy trzymamy w domach. Jak potrzeba, to skrzykujemy się i przynosimy wszystko na zebranie czy trening. Sami szyjemy sobie stroje do karate. Na mistrzostwa Europy jeździmy właściwie prywatnie. Sami staramy się o paszporty. Trochę pomagają nam ludzie życzliwi, ale chyba czas, by powstał Polski Związek Karate. Teraz na przykład otrzymałem wiadomość, że na mistrzostwach w Elblągu coś się stało. Nie mam pojęcia co, ale Zarząd Główny TKKF i GKKF odwołali wszystkie planowane imprezy karate. Myśmy zaprosili do Łodzi sensei Keinosuke Enoeda, instruktora All Europe Karate Federation i szefa instruktorów Karate Union of Great Britain. I zupełnie nie wiemy, co z tym teraz zrobić. Gdyby był związek, sprawa wyglądałaby inaczej, byliby tam ludzie, którzy wiedzieliby co się stało i jak trzeba na to zareagować, tak jak to bywa w innych związkach sportowych.**

7.

Polska już trzy razy brała udział w mistrzostwach Europy w karate. W 1976 roku w Mediolanie polscy karatecy zajęli czternaste miejsce. W 1977 roku w Essen — siódme. W 1978 roku w Belgradzie odpadli w eliminacjach. Ale polscy karatecy nie martwią się tym. — **To dopiero początek** — mówią.

Dla karateków ważne są międzynarodowe kontakty. Każdy, kto uprawia karate, musi przejść 9 stopni uczniowskich, aby mógł awansować wyżej. Później umiejętności karateki, jego wkład w rozwój karate określa się ilością DAN. Na przykład Włodzimierz Kwieciński — 1 DAN, W Polsce 1 DAN posiada 9 osób. Zdawali oni egzamin u dyrektora technicznego European Amateur Karate Federation — dr Ilii Jorgi 5 DAN i trenera narodowej reprezentacji RFN, Japończyka Hideo Ochi 6 DAN.

Do 3 DAN zdaje się egzamin. Dalej DAN przyznaje specjalna komisja International Amateur Karate Federation. Przyznaje na podstawie oceny przygotowania, dyscypliny, a także zaangażowania i wkładu w rozwój karate. Aby to było możliwe karatecy muszą być znani w świecie, obserwowani przez wybitnych mistrzów karate. DAN jest stopniem mistrzostwa.

Cytowany już Kenji Tokitsu 5 DAN powiada tak na ten temat:

— „Francuzi fetyszyzują dany. Ustanowili 7 i 8 dan. Nie ma powodu, żeby się na tym skończyło. Dlaczego nie dziesięć, albo trzydzieści? Oczywiście powyżej dziesięciu wyglądałoby to niepoważnie. Ale dla mnie i tak hierarchia danów nie ma sensu. Ten podział zakłada ocenę z se-

wnątrz. Tymczasem jedyną osobą, mogącą naprawdę ocenić swój stopień zaawansowania, jest sam adept i nikt inny. Prawdziwe uprawianie karate zaczyna się od uzyskania czarnego pasa. I od tego momentu człowiek odpowiada sam za siebie".

Karate rozwija się nie tylko w Polsce. Wysoko rozwinięte jest w Jugosławii. W Rumunii i na Kubie uznano karate jako oficjalną dyscyplinę sportu. W CSRS od 1971 roku przy Czechosłowackim Związku Judo działa Komisja Karate. Powstały sekcje karate w Bułgarii i ZSRR.

8.

Czym jest karate?

Czy to jest sport?

Czy tylko sport, czy też coś więcej?

W USA — ale nie tylko — uprawia się „full contact", pewien rodzaj karate wprowadzone przez profesjonalistów. Najwyższy współczesny autorytet w karate, Japończyk sensei Masatoshi Nakayama, uczeń ojca współczesnego karate sensei Gichina Funakoshi, twierdzi, że „full contact", to **„tylko część karate".** A to dlatego, że karate nie polega tylko na sile fizycznej.

— Tu dużą rolę odgrywa duch — mówi Masatoshi Nakayama 9 DAN. **— Ważna jest kontrola nad samym sobą. Absolutną dokładność można osiągnąć przez umysł. Wszystko zaczyna się i kończy w procesie myślenia. A bez precyzji nie ma karate.**

Włodzimierz Kwieciński powiada, że karate pozwala człowiekowi ładować energię do wewnątrz. Brzmi to dość tajemniczo, ale coś w tym jest — jak to się popularnie mówi. Na przykład bokser, jeśli rozstanie się z ringiem, może stać się tylko trenerem. A karate można ćwiczyć całe życie. W Japonii są nauczyciele karate, którzy mają 70 lub 80 lat.

— „...dla mnie jest to sposób życia" — powiedział o karate Kenji Tokitsu. — **„Być obecnym w każdym ze swych gestów, oznacza po prostu — czuć je, nic więcej. Moje ja, które robi to, myśli równocześnie tamto, odczuwa jeszcze co innego — nie istnieje. Całe moje ja jest w moim geście. To wszystko".**

9.

Chodzi więc o to, aby doskonalić charakter, aby rozwijać ducha, aby bronić prawdziwości drogi, aby szanować etykietę, aby gorącość nie przesłaniała męstwa. Chodzi o to wszystko jednocześnie i o to jeszcze, aby zawsze o tym pamiętać i doskonalić się w myśl tych zasad.

Czym więc jest karate?

Niezgłębiona jest mądrość ludzi Wschodu.

10.

A swoją drogą to się jeszcze na tym Ryśku Łucyszynie odegram. Bo to wszystko przez niego. Chyba, że zacznę ćwiczyć karate... W co zresztą wątpię.

Foto: R. Łucyszyn

Jean Pierre Peronzel-Hugoz

ŚWIĘTA RZEKA NIL

Skąd bierze się Nil? Starożytna zagadka, gdzie znajdują się źródła tej wielkiej rzeki, została postawiona jako problem dopiero 100 lat temu. Od chwili odkrycia w 1858 r. jeziora Victoria przez kapitana armii indyjskiej, Johna Speke, wiadomo, że wody Nilu nie pochodzą z wody wylewanej po kąpieli aniołów, a przynajmniej, że aniołowie nie przybywali w celach ablucji do samego serca Afryki... Również jezioro Victoria-Nyanza, o obszarze równym Irlandii, nie jest matką Nilu.

Geografowie wzruszają ramionami i wskazują na kłąb splątanych strumieni, które winny dawać początek tej rzece. Jeden będzie uważał, że jest to strumień o najobfitszej wodzie, drugi stwierdzi, że to ten, który dostarcza Nilowi najżywszy prąd, trzeci uzna, iż najbardziej wysunięty na południe.

Załóżmy jednak, jak to czynią niektórzy geografowie, że źródła Nilu znajdują się w Kassume koło Burundi. Ale nikt nie zaprzeczy, że Nil etiopski, który łączy się w Sudanie z Nilem płynącym z górnej Afryki, toczy prawie dwukrotnie większe masy wód niż tamten. „Prawdziwym" Nilem byłaby zatem rzeka abisyńska, wypływająca z jeziora Tana, a odgałęzienie burundorwando-ugando-sudańskie byłoby tylko jej głównym dopływem.

Taka była w istocie rzeczy opinia Egiptu jeszcze nawet przed tym, zanim wymierzono wydajność obu prądów wodnych. Przywódcy w Kairze zawsze przywiązywali o wiele większe znaczenie do tego, co działo się na Nilu abisyńskim. Czyż począwszy od Salomona, przy okazji każdego kryzysu egipsko-abisyńskiego nie próbowano odwrócić biegu „swojej" rzeki? Egipcjanie chwytali za broń, jakkolwiek niechętnie, ponieważ według tradycji islamskiej, Mahomet przeklął wszystkich muzułmanów, którzy porwaliby się z atakiem na Abisynię, królestwo chrześcijańskie, które udzieliło schronienia pierwszym mahometanom prześladowanym w Mekce. Mimo trudnego do wyobrażenia poziomu techniki ówczesnego okresu, zdumiewa dziś dawna obsesja egipska, dotycząca ewentualnego pozbawienia kraju wody. A przez wiele stuleci taka wielka operacja uważana była za możliwą do zrealizowania. Wielokrotnie zresztą suwereni europejscy, zwłaszcza zaś król Aragonii, około 1450 roku zachęcali negusa do „rzucenia Egiptu na kolana przez odcięcie mu wody".

Wydaje się nawet, że w niektórych okresach rozpoczynano prace mające zrealizować tę groźbę, np. w okresie rządów kalifa Moustancier. Jak pisze historyk muzułmański, Makrizi, Moustancier musiał szybko wysłać do negusa koptyjskiego patriarchę z Aleksandrii, by domagał się rezygnacji z tego planu. Misja jego zakończyła się powodzeniem i — jak pisze wspomniany historyk — *„negus zarządził otwarcie tamy, dzięki czemu wody powróciły do Egiptu i w ciągu jednej nocy poziom wody w Nilu podniósł się o 3 łokcie. Następnie wody przybierały nadal, aż do momentu, kiedy kraj został całkowicie nawodniony. Wówczas patriarcha powrócił do Egiptu".*

Środki techniczne, jakie stoją obecnie do dyspozycji spowodowały, że odżyły dawne obawy egipskie. Niedawno szef państwa egipskiego zaniepokojony pogłoskami, według których w Etiopii rozpoczęto przygotowania do budowy kolosalnej zapory, mającej zatrzymać część wód Niebieskiego Nilu, oświadczył publicznie, że jeśli projekt ten stworzy najmniejsze bodaj zagrożenie osuszenia jego kraju, *„bez wahania rozpocznie wojnę".*

Niezależnie od dyskusji politycznych lub naukowych można założyć, że Nil zasługuje na „poważne" traktowanie od tego miejsca, w którym nazwa jego brzmi krótko „Nil". Najdawniejsze wzmianki o tej jednosylabowej nazwie spotyka się w poezjach Hesjoda, w VIII wieku p.n.e., ale pochodzenie tej nazwy jest tubylcze i oznacza po prostu „prąd wody".

Boski Nil daje bogactwo

Na rzekę, która od Chartumu zwie się Nil, składają się dwa odgałęzienia: etiopska rzeka Niebieska, która podczas przyboru wód ma kolor czerwony i płynąca z Afryki środkowej rzeka Biała o kolorze szarozielonym. Do punktu styku dwóch nurtów rzecznych, tworzących błotnisty klin uginającej się ziemi pod stopą, gdzie mali chłopcy zabawiają się w rybaków, przepływa rocznie około 80 mld metrów sześciennych wody. Fale obu rzek najpierw się zderzają i odpychają, następnie mieszają ze sobą, by dalej już popłynąć spokojnie razem. Siła i spokój. Podniecenie i majestat. Jest to jeden z wielkich spektakli wodnych, tak jak widok Atlantyku w Gibraltarze.

Po tym jakby specjalnym pokazie dla widzów Nil znajduje się dalej sam na sam z pustynią. Zbiera siły, ścieśnia prądy, by o 100 km na północ od stolicy Sudanu stawić czoło pierwszej katarakcie, nazwanej szóstą przez przybyszów z północy. Wszystkie katarakty mogą zawieść oczekiwania tych, którzy spodziewają się ujrzeć w nich gwałtowność Niagary, ale niemniej są one bardzo gwałtowne i widok jest przepiękny.

Po odniesieniu dzikiego triumfu nad skałą, Nil płynie dalej z szybkością największą ze wszystkich rzek cywilizacyjnych. W Meroe pojawiają się pierwsze piramidy. Tutaj przez ponad pół tysiąca lat, przed i po narodzeniu Chrystusa, znajdowało się królestwo Kouch, wzorowane na Tebach, ale posiadające własny język, własną sztukę i własny system prawny. W przeciwieństwie do legendy, bliskość Nilu nie okazała się rękojmią wieczności, gdyż piaski pokryły od dawna ogrody Meroe, gdzie królowała Candace, ta „Kleopatra Sudanu", której biżuteria znajduje się obecnie w Monachium i Berlinie.

Mimo iż w dół i w górę rzeki od Meroe ogrody zielonej niegdyś Nubii całkowicie wyschły, Nil jest rzeką „rolniczą". Kolosalne plantacje bananów w Ugandzie, alpejskie prerie Etiopii, wzorowe fermy o 1 mln hektarów w Gézireh sudańskim, są wprawdzie mniej znane, niż osławione tereny egipskiej delty, ale równie wspaniałe.

Zresztą przyszłość ekonomiczna Nilu, jak też wyżywienie okolicznych ludów arabskich i afrykańskich leży w Sudanie, a nie w Egipcie, którego wyjałowiona, źle uprawiana i przeludniona ziemia powoduje po raz pierwszy od początków swego wielotysięcznego istnienia powstawanie większej liczby problemów niż można rozwiązać.

W przeciwieństwie do tego Sudan, jak okiem sięgnąć, przedstawia ziemię zdolną produkować przez wiele lat. Koło Wad-Médani, o 180 km na południe od Chartumu, dostrzega się prawdziwą *„eksplozję kwiatów, owoców i zieleni".* Obecnie zaledwie 15 proc. terenów nadających się pod uprawy jest użytkowanych w Sudanie, co wynosi około 75 tysięcy km kwadratowych. A i tak ta „kieszonkowa chusteczka" w porównaniu z rozległością obszarów czekających na eksploatację rolniczą, jest dwukrotnie większa od terenów uprawnych Egiptu. W rzeczywistości przyczyną takiej sytuacji w Sudanie jest, w o wiele mniejszym stopniu, niż brak kapitałów, niewystarczająca liczba i nonszalancja sudańskich chłopów. Gdyby Naser nie zrezygnował w 1955 roku z Sudanu, to Egipt mógłby dziś znajdować się w o wiele lepszej sytuacji gospodarczej. Czy egipskie marzenie o powiększeniu przestrzeni życiowej zostało na zawsze zarzucone? Unia krajów położonych nad Nilem mogłaby połączyć we wspólnym wysiłku rozwojowym przynajmniej trzy główne nadbrzeżne kraje: Etiopię, Sudan i Egipt. Sprawa ta jednak nie stoi obecnie na „porządku dnia". Ale jest to idea, która winna mieć szanse realizacji po zakończeniu ery ropy naftowej.

Człowiek zmienia rzekę

Czekając na moment, gdy nadbrzeżne państwa Nilu zorganizują się we wspólnym dążeniu do podniesienia walorów swych krajów, Chartum postanowił zrealizować „wielką koncepcję", nienową zresztą, bo niemal sprzed stu lat, dla poprawy interesów sudańskich. Mowa tu jest o budowie Kanału Jonglei o długości 280 km, który połączyłby dwa odgałęzienia Białego Nilu. Według opinii inicjatorów tego projektu, w ten sposób teren o powierzchni ponad 150 km kwadratowych powinien zostać przywrócony życiu.

Międzynarodowa grupa ekologów wykryła niesłychanie niepokojący problem: 350 tysięcy członków trzech prymitywnych szczepów wskutek różnych zmian wprowadzanych w rejonie ich zamieszkania, jak też w wyniku naruszenia wewnętrznej równowagi społecznej mogłaby zostać dotknięta chorobami, na które dotychczas — wobec wielowiekowego przystosowania do warunków — była uodporniona. Choroby te, to śpiączka, dyzenteria, pasozyty jelitowe itp.

Przy budowie tamy assuańskiej postępowano nieostrożnie i w imię wspólnego interesu społeczeństwa egipskiego zniszczono całkowicie wszelkie życie na granicy egipsko-sudańskiej. Projekt Kanału Jonglei przewiduje poprawę sytuacji narodu posiadającego od niepamiętnych czasów prawo do swej ziemi, języka i osobowości: Nubijczyków. W 1955 roku nie mieli oni jeszcze żadnych szans. Ekologia nie była w modzie. Odwieczni spiskowcy — historia i technika — wzięli nad nimi górę. Obecnie, gdy cenzura przestała traktować sprawę Nubijczyków, jako tabu, w Kairze mówi się w formie pewnego wytłumaczenia:

— Nubijczyków było wówczas zaledwie 70 tysięcy i w końcu już od pół wieku wody małej angielskiej tamy w Assuanie i tak pokrywały ich pola przez większą część roku.

„Wielka Tama"

Wymarzona około 1930 roku przez Greka nazwiskiem Daninos, a zrealizowana znacznie później w niecałe 10 lat od chwili oddania do użytku, „Wielka Tama" budzi dziś przeciwstawne nastawienia. Fellahowie, ocknąwszy się ze swego pierwszego entuzjazmu, wykazują tendencję przypisywania „Wielkiej Tamie" — Sad-el-Aali — odpowiedzialności za wszelkie trapiące ich bolączki, jak nasilanie się i rozszerzanie na cały otaczający rejon tropikalnej choroby — bilharcjozy, wzrost zasolenia ziemi, co „spala" uprawy, zwłaszcza zaś zniknięcie osławionego mułu, któremu starożytny Egipt zawdzięczał swą nazwę — Kémi — „Czarna ziemia". Ta „manna rzeczna", która od zarania dziejów kilkakrotnie w ciągu roku użyźniała egipską ziemię, została uwięziona w jeziorze utworzonym przez tamę, co zmusiło rolników do kupowania sztucznych nawozów i pestycydów. Używanie bez dostatecznego rozpoznania i wiedzy na temat ich stosowania doprowadziły do pojawienia się zjawisk nie znanych dotychczas w dolinie Nilu: ginących wskutek zatrucia drzew, owoców i jarzyn o obrzydliwym smaku nafty, aż do śmiertelnych wypadków wśród rolników delty, którzy umierają zatruci oparami rozsiewanych przez siebie chemikaliów.

Zdaniem jednego z ekspertów europejskich, członka komisji badawczej, zajmującej się problematyką wód Morza Śródziemnego, *„ludzie się uodporniają, a w każdym razie ich organizm osłabia się bardzo wolno. Jednakże ilość podwodnej jadalnej fauny u ujścia Nilu zmniejszyła się znacznie od czasu zniknięcia składników organicznych zawartych w mule, którymi się odżywiała. Dziś grozi jej całkowite wyginięcie, ponieważ zawartość pestycydów w wodach delty jest już cztero- lub pięciokrotnie wyższa od dopuszczalnego poziomu".*

Pływający kraj

W oparciu o badania prowadzone od 1971 roku przez Egipcjan przy współudziale UNESCO i według programu rozwoju ONZ, o ile zasadnicze prace ochronne i drenażowe nie zostaną podjęte zaraz i nie będą systematycznie realizowane w rejonie delty Nilu, to morze wydrąży bez żadnej trudności olbrzymią zatokę od Aleksandrii do Port Saidu, która za kilkaset lat może dotrzeć do Tantah, w centrum obecnej delty. Już do chwili postawienia Wielkiej Tamy erozja morska kompensowała nanoszone co roku przez rzekę 150 mln ton osadów, które teraz zatrzymują się w jeziorze Nasera. Na Przylądku Rosette morze zagarnia obecnie 20 do 30 metrów rocznie, a koło Damiette domy zostały już zniesione przez fale.

Kairski dziennik wychodzący w języku francuskim *„Le Progres Egyptien"* napisał przerażony:

„Całemu Egiptowi grozi zagłada. Nasza ziemia egipska, wchłaniająca wodę, jak gigantyczna gąbka, przemieni się za 50 lat w wielkie bagno, które pochłonie wszystko. Tylko piramidy wyłaniać się będą z tej nowej Atlantydy. Niewidoczne, monstrualnej wielkości jezioro, po którym pływa kraj, zaledwie 20 lat temu zawierało 45 mld metrów sześciennych wody. Obecnie ilość ta się podwoiła, a poziom wody znajduje się na 2 m pod ziemią całego terytorium kraju".

Rzadko mówi się o tym, że Tama Assuańska, praktycznie biorąc, nie zrealizowała nadziei w niej pokładanych, jeśli chodzi o nawodnienie terenów uprawnych kraju. Jak na 10 lat istnienia tamy, nawodnieniem objęto mniej niż 0,5 mln fedanów (1 fedan = 4.200 metrów kwadratowych), co jest bardzo mizernym rezultatem.

Zwolennicy „Wielkiej Tamy" odpowiadają na słowa krytyki:

— Choroby tropikalne?

„Ten rak ludzi ubogich zwrócił uwagę badaczy dzięki istnieniu tamy i natychmiast znaleziono środki zaradcze".

— Nawodnienie nowych terenów?

„Dajcie nam jeszcze 10 lat".

— Klęska soli i zatrucie środowiska?

„Część kredytów została przeznaczona na ich zwalczenie, co pozwoli na pełne zaradzenie sytuacji".

— Zniknięcie sardynek i krewetek u ujścia Nilu?

„Ryby utuczone mułem z jeziora Nasera nabrały w ciągu 10 lat nie spotykanych rozmiarów, a ich białe mięso jest przysmakiem. Trzeba sprowadzić do Assuanu rybaków, nie mających co robić nad Morzem Śródziemnym".

Ale rybacy ci, tak jak i Nubijczycy, nie chcą osiedlać się na brzegach księżycowego pejzażu jeziora Nasera.

Mimo że nie wykorzystane

Inżynier Sidki Suliman, który za czasów Nasera był ministrem do spraw budowy „Wielkiej Tamy", broni z przekonaniem tego assuańskiego „banku wody":

— Wielka Tama dwukrotnie już uchroniła Egipt: w 1972 roku od suszy, a w 1975 roku od powodzi; a po zniszczeniach wojennych w 1968 roku dostarczała światła całemu krajowi. Jeśli jezioro nie jest całkowicie wypełnione, to świadczy to o naszej ostrożności wypływającej z obaw przed przyborem wód, który mógłby spowodować wylew. To, że z 12 turbin francuskich, w jakie wyposażona jest tama, pracują tylko trzy — dostarczają one i tak 65 proc. elektryczności wykorzystywanej obecnie przez Egipt — wynika stąd, że pełny popyt na elektryczność jest o wiele niższy od zdolności produkcyjnej hydroelektrowni, jak też i stąd, że w kraju pracują również innego typu zakłady.

To niepełne wykorzystanie Tamy Assuańskiej nie przeszkodziło jednak w ostatnich latach (a ujawnili to sami Amerykanie) niektórym przedstawicielom kairskiej hierarchii rządowej podpisać w Stanach Zjednoczonych warunkowe kontrakty na budowę w Egipcie nowych zakładów wytwarzających elektryczność!

Czy więc Nil — odarty z tajemnicy swego boskiego pochodzenia, zanieczyszczony przez człowieka, przecięty na dwoje i wstrząśnięty w swych najgłębiej zakorzenionych obyczajach zbudowaniem na jego korycie najbardziej gigantycznej technicznej inwestycji, niedostatecznie wykorzystanej i niezdolnej rozwiązać problemów Egiptu, pozbawiony nawet przez skrócenie „Wielką Tamą" o ca 50 km miana „najdłuższej rzeki świata", opanowany przez kohorty turystów, jest nadal jeszcze tą boską rzeką, tym królewskim biegiem wody, opiewanym przez poetów, upragnionym przez zdobywców i uwielbianym przez ludzi?

Niezależnie jednak od przemian, jakie mogą jeszcze mieć miejsce w przyszłości, Nil pozostanie w pamięci ludzkiej, jako rzeka, bez której nie narodziłaby się w pomroce dziejów najstarsza cywilizacja. Należy tylko gorąco pragnąć, aby ludzie nie przekształcili ostatecznie tej rzeki w długi, zatruty ściek.

(„Le Monde")

KRONIKA TYGODNIA

Do trzech razy sztuka, a więc **raz jeszcze o włoskim kryzysie rządowym.** Trwająca praktycznie od stycznia destabilizacja władzy i zmęczenie rozmowami na temat, jak wyjść z kłopotów, sprawiły, że dość nieoczekiwanie **udało się kolejnemu politykowi chadeckiemu — Francesco Cossidze utworzyć trójpartyjny rząd.** Składa się on z przedstawicieli chrześcijańskiej demokracji, socjaldemokratów i republikanów oraz bezpartyjnych specjalistów. Jest to gabinet mniejszościowy, nie mający odpowiedniej ilości głosów w parlamencie. Będzie on egzystował przy poparciu socjalistów. WłPK — wierna głoszonej zasadzie przed wyborami i teraz: w rządzie lub opozycji — będzie partią opozycyjną.

W exposé programowym Cossiga zwrócił szczególną uwagę: w problematyce wewnętrznej — na konieczność zapewnienia bezpieczeństwa i obronę instytucji demokratycznych, w problematyce zagranicznej — na „umacnianie tradycyjnych więzów przyjaźni i dialog ze wszystkimi narodami świata".

Odnotujmy ponadto stwierdzenie nowego premiera, że **Włochy opowiadają się za jak najszybszą ratyfikacją porozumienia SALT II i skonkretyzowaniem kolejnego — SALT III** oraz działać będą na rzecz odprężenia i realizacji postanowień Aktu Końcowego KBWE. Ta deklaracja wsparta została jeszcze wyrażeniem woli rozwijania pozytywnych stosunków z ZSRR i wszystkimi krajami Europy wschodniej.

Przemówienie Cossigi w części wewnętrznej uznane zostało za zbyt szczegółowe, a jednocześnie pozbawione programowych rozwiązań. „Brak ogólnej linii działania i sugesti rozwiązań, które by wskazywały na możliwość mobilizacji całej energii w kraju" — powiedział o programie rządowym jeden z członków sekretariatu WłPK. Przedstawiciel kierownictwa PSI (partia socjalistyczna) oświadczył natomiast, że program ten jest próbą przedłużenia egzystencji rządu poza termin najbliższego zjazdu chadecji. W tym miejscu musimy wyjaśnić, że nowy gabinet ma być „ograniczony w czasie". Kiedy i w jakich okolicznościach 42 rząd włoski od upadku faszyzmu, (a więc 1943 roku), będzie musiał ustąpić miejsca następnemu — nie wiadomo, ale ten termin łączy się podobno ze zjazdem partii chrześcijańską-demokratycznej.

Dużo pisaliśmy przez ostatnie tygodnie o Włoszech, bo też sytuacja była szczególna. Rozwiązanie, które znaleziono, nie rozstrzyga problemów politycznych Włoch, jest znów formalnym...

Poświęćmy teraz uwagę innemu krajowi zachodniemu — W. Brytanii. **Minęło właśnie 100 dni rządów Margaret Thatcher.** Prasa brytyjska szeroko pisze o owej „studniówce", częstokroć wyrażając opinie krytyczne. Pani Thatcher zajęła się bowiem z dużą energią reprywatyzacją głównych gałęzi przemysłowych i reformą podatkową, obniżając np. o 23 proc. podatki od dochodów obywateli. Oba te posunięcia mają swe źródło w programie wyborczym konserwatystów, głoszącym: inicjatywę jednostki, własność prywatną i prawo do prosperowania. Głosami przeciwnymi takim krokom szef rządu nie przejmuje się, ma bowiem przed sobą pięcioletnią kadencję i 43-mandatową przewagę w parlamencie.

Pochłonięta przede wszystkim sprawami wewnętrznymi **Margaret Thatcher nie zaniedbała problematyki zagranicznej** — przyjęła już w kraju sześciu przywódców z zagranicy, prowadziła rozmowy w pięciu krajach i uczestniczyła w trzech konferencjach międzynarodowych, w tym w konferencji Commonwealthu w Lusace. Właśnie chcemy napisać nieco o tych obradach. Wzięli w nich udział szefowie rządów i państwa Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. Na czoło obszernego porządku dziennego wysunęła się sprawa skomplikowanej sytuacji w Rodezji, a celem obecnego rządu brytyjskiego jest wyprowadzenie Rodezji z izolacji i uczynienie państwem uznawanym na arenie międzynarodowej.

Thatcher jechała na konferencję z postanowieniem domagania się od jej uczestników, aby uznali obecny rząd Rodezji — Zimbabwe. Rząd ten — przypomnijmy — powołany został z myślą, aby stał się parawanem dla rasistów Smitha. Przeciwko takiemu rozwiązaniu opowiedzieli się jednakże przedstawiciele państw afrykańskich i premier Thatcher musiała zmienić zdanie. Zgodziła się, że problem rodezyjski może być rozwiązany jedynie z udziałem wszystkich sił zaangażowanych w konflikt, a więc także Frontu Patriotycznego Zimbabwe. Jesienią ma się odbyć w Londynie specjalna konferencja, w następstwie której przygotowano by nową konstytucję, dającą Murzynom władzę. Później dopiero odbyłyby się wybory do parlamentu i wyłoniono by nowy rząd. Oczywiście ten plan musi uzyskać poparcie wszystkich zainteresowanych.

Fakt, że państwa afrykańskie wymogły na M. Thatcher zmianę stanowiska, żywo jest komentowany w kołach politycznych.

W. SŁAWSKI

W POSZUKIWANIU ELIKSIRU MŁODOŚCI

„Człowiek może żyć 500 lat" — poinformował Herman le Compte, prezydent Belgijskiego Towarzystwa Gerontologicznego. Le Compte jest przekonany, że starzenie się jest następstwem defektów organizmu, takich na przykład, jak brak witamin, czy „niewydolność" procesów utleniania. Z wiekiem procesy te stają się bardziej intensywne. Gdyby można nimi kierować, człowiek mógłby żyć 500 lat, a — być może — nawet dłużej".

Eksperymenty w dziedzinie odżywiania prowadzili: Amerykanin, prof. Mackey i Anglik, dr. A. Comphort z Uniwersytetu Londyńskiego. Mackey, znany specjalista w zakresie odżywiania i starzenia się, przypuszcza, iż klucza do przedłużenia życia należy szukać w systemie odżywiania. Sądzi on, iż niewłaściwe odżywianie jest pośrednią przyczyną rozwijania się wszelkich możliwych chorób — utraty wzroku, przedwczesnego starzenia się i innych. Zdaniem uczonego, życie będzie można przedłużyć, zachowując „młode ciało", dzięki witaminom i odpowiednim składnikom odżywczym.

Już od 25 lat prowadzi on badania na szczurach. Partię zwierząt doświadczalnych podzielił Mackey na dwie grupy. Pierwsza grupa mogła jeść, ile chciała i kiedy chciała. Druga otrzymywała racje o określonej wartości kalorycznej, przy czym podawano jej taką samą ilość białka, soli mineralnych i witamin, co grupie pierwszej. Zwierzęta drugiej grupy starzały się o wiele wolniej, niż pierwszej. W wieku 1000 dni, co odpowiada 100 latom u człowieka, ich rozwój nie uległ jeszcze zahamowaniu, miały lśniącą sierść, były absolutnie zdrowe i sprawne życiowo. Kiedy Mackey przestawił je na normalne odżywianie, ich proces rośnięcia ustał bardzo szybko. Ale i tak szczury te żyły dwukrotnie dłużej, niż zwierzęta z pierwszej grupy.

Dr A. Comphort poszedł inną drogą. Przymuszał myszy do głodówki dwa dni w tygodniu. W konskwencji długość ich życia zwiększyła się o 50 procent ponad normalną. Jednakże zdaniem le Compte'a w ten sposób można przedłużać życie nie zwykłym myszom, lecz tylko zwierzętom laboratoryjnym, z reguły otrzymującym nadmiar pożywienia i pozbawionym możliwości ruchu. Twierdzi on, iż niedojadanie może tylko zaszkodzić.

Le Compte leczy swoich pacjentów wdług określonych reguł, które mają na celu uzupełnianie niepełnowartościowego pożywienia. Uważa on, że starzenie się jest procesem utleniania. „Powinniśmy — twierdzi Le Compte — stosować antyutleniacze — środki, które powstrzymują rozkładanie tłuszczów, a więc takie, jak witaminy A, C, E oraz syntetyczne antyutleniacze. Coraz więcej uczonych otrzymuje wyniki potwierdzające teorię, co do witaminy E, którą zawierają niektóre tłuszcze roślinne; opóźnia ona proces starzenia się komórek. Zwierzęta, którym podawano tę witaminę żyły dłużej od tych której jej nie otrzymywały.

Granice ludzkiego życia — utrzymuje dr Le Compte — można obecnie przesunąć do 200 lat, ale najważniejsze, żeby zachować jak najdłużej młodość. Gdy wykryjemy wszystkie czynniki utleniania w naszym organizmie i uda nam się wyprodukować odpowiednie antyutleniacze, będziemy mogli przedłużyć życie do kilku stuleci. Ale z pewnością nie uda się tego dokonać przed rokiem 2000.

Le Compte utrzymuje, iż związanych z wiekiem chorób — reumatyzmu, arteriosklerozy, nadciśnienia krwi, cukrzycy i innych — nie należy uważać za nieuchronne dolegliwości. Można ich uniknąć drogą odpowiedniego profilaktycznego leczenia, polegającego na oczyszczaniu organizmu przy jednoczesnym odżywianiu go „budulcowymi" elementami, z których formują się tkanki, ponieważ przyczyną tych chorób jest, prawdopodobnie, nic innego jak tylko „niewydolność".

Idea stosowania witamin i diety w celu hamującego oddziaływania na procesy starzenia nie jest „wynalazkiem" dr Le Compte'a. Prof. Linus Carl Pauling, laureat Nagrody Nobla twierdzi: „Przy pomocy odpowiedniej diety i niektórych witamin można opóźniać procesy starzenia się i przedłużyć życie ludzkie średnio o 20 lat. W przyszłości większe dozy witamin pozwolą na zwalczanie setek chorób".

Doświadczenia na zwierzętach wykazały, iż brak witaminy E wywołuje u szczurów poważne zakłócenia: duże spustoszenia w tkankach łącznych, rodzenie martwego potomstwa, bezpłodność, zaburzenia funkcji wątroby, niedowład mięśni. U małp, psów i owiec obserwuje się w tym wypadku paraliże, kurcze, stwardnienie mięśni, osłabienie mięśnia sercowego.

Inny uczony, biochemik, Gotfryd Jupp, z Instytutu Technologicznego w Monachium, w artykule poświęconym witaminie E pisze: „Biologiczne starzenie się nie jest nieuniknione. Logicznie nie ma najmniejszych podstaw, żeby człowiek musiał się starzeć. Jednakże starzejemy się i nawet witamina E nic tu nie może pomóc. Przedłużyć życie o kilka dziesięcioleci w dalszej przyszłości będzie oczywiście można, ale w najbliższej — na pewno nie. Za mało jeszcze wiemy o przebiegu procesów życiowych. Żeby żyć dłużej, można alko korzystać z osiągnięć nauki, albo prowadzić zdrowy tryb życia: żadnej nadwagi, żadnych papierosów, żadnych stresów. Jeśli chodzi o naukę, to stworzyła ona już podstawy, żebyśmy mogli żyć 150 lat..."

Na przebieg chemicznych procesów w naszym mózgu decydujący wpływ wywierają: charakter i zestaw pożywienia. One to wpływają na sen, instynkty, apetyt i przeróżne aspekty zachowania się człowieka. Zjedzony befsztyk lub talerz makaronu mogą oddziaływać w bardzo różny sposób. Przeprowadzone w Stanach Zjednoczonych doświadczenia wykazały, że koncentracja w mózgu hormonu serotoniny zmienia się w zależności od charakteru pożywienia. Zawartość serotoniny spada po spożyciu dania bogatego w białko (mięso, mleko, ryby), ale zwiększa się po węglowodanach — wyrobach mącznych, cukrze. Koty pozbawione serotoniny cierpią na bezsenność, ulegają zaburzeniom płciowym. Nadmiar serotoniny pozbawia szczury apetytu i powoduje senność.

Zastanawiając się nad problemami starzenia i śmierci powinniśmy wiedzieć, co to jest życie. Jest to ustawicznie pracujący system. Podwyższenie temperatury przyśpiesza jego pracę, obniżenie — zwalnia ją, a nawet zupełnie zatrzymuje. Wstrzymanie działalności życiowej niekoniecznie oznacza śmierć. Już obecnie w USA spermatozoidy (plemniki zwierząt, ludzi i niektórych roślin) byków, przeznaczone do sztucznego zapładniania, przechowuje się bez najmniejszego dla nich uszczerbku od 2 do 5 lat w temperaturze minus 79 st. C. A co by się stało, gdyby obniżyć temperaturę ciała ludzkiego o kilka stopni? Wszak wtedy procesy życiowe zostają zwolnione, a tym samym, być może, następuje odsunięcie granicy starości. Temperaturę naszego ciała reguluje automatycznie specjalny „układ termostatyczny" i należałoby zmienić jego regulację. Kiedy temperatura ciała przewyższa 37 stopni, niektóre komórki tego „układu termostatycznego" włączają specjalne mechanizmy, żeby ochłodzić ciało, na przykład mechanizm wydzielania potu. Gdy krew już się ochłodziła — ów termostat wyłącza się.

Biochemik, prof. Barnett Rosenberg utrzymuje, że „jak wiadomo już z badań w dziedzinie termodynamiki, procesy starzenia się i śmierci zależą od temperatury". Badania, o których mówi prof. Rosenberg, trwają już 8 lat. „Na drogę tych badań — mówi profesor — naprowadziły nas badania prowadzone już wcześniej w naszym laboratorium, które nazwaliśmy działaniem prawa kompensacji. Doszliśmy więc do tego problemu przypadkiem. Dotąd istniała już możliwość zmiany regulacji „układu termostatycznego" drogą wprowadzania doń przy pomocy igły roztworu sodu i wapnia. Przy określonym, dokładnie wyregulowanym stosunku sodu i wapnia, utrzymuje się temperaturę ciała 37 stopni C. Jeśli zmienić ten stosunek, można ustalić inną temperaturę. W ten sposób, dobierając stosunek między ilością jonów sodu i wapnia można zmieniać w określonych granicach regulator układu termostatycznego naszego ciała".

W jakim stopniu można by przedłużyć życie człowieka przy temperaturze jego ciała równej 33 stopniom C? Zgodnie z obliczeniami, do około 700 lat! Ale są to wszystko teoretyczne przypuszczenia. Czy jednak takie obniżenie temperatury nie spowoduje negatywnych następstw, czy nie zwolnią się nasze reakcje, czy nie staniemy się mniej odporni na wpływy otaczającego środowiska — a tym samym na temperatury powietrza? „Nie — odpowiada prof. Rosenberg. — Jeśli termostat jest nastawiony na niższą temperaturę, nie ma żadnych podstaw do przypuszczeń, że będziemy się czuli inaczej przy temperaturze 37 stopni. Na zmiany temperatury zewnętrznej będziemy reagować tak samo, jak teraz. Oczywiście, jeśli nie posuniemy się w tym kierunku zbyt daleko".

O ile stopni powinna być obniżona temperatura ciała, żeby życie człowieka przedłużyć o 200 lat? W jakiej formie będzie się przyjmować lekarstwo? — w formie zastrzyków czy pigułek? „Najprawdopodobniej powinno wystarczyć obniżenie temperatury mniej więcej o 2 stopnie. Jeśli chodzi o drugie pytanie — mówi prof. Rosenberg — to będą to prawdopodobnie pigułki". A oto odpowiedź prof. Rosenberga na pytanie, kiedy to wszystko będzie możliwe. „Zazwyczaj opracowanie preparatu, od momentu jego odkrycia w laboratorium do chwili wyprodukowania go i sprzedaży, zajmuje 5—6 lat".

Pożyjemy, zobaczymy...

JERZY CZECH

KONTRABANDA

Tihuana — małe meksykańskie miasteczko na granicy z USA. Przemyca się przez nie do Stanów Zjednoczonych dosłownie wszystko — od imigrantów — robotników do heroiny Uwagę amerykańskich celników zwróciło niedawno dziwne zachowanie się jednego z komiwojażerów. Zatrzymano więc samochód i przeprowadzono rewizję Wewnątrz drzw., między blachą a wewnetrzną okładziną, zdumieni celnicy odkryli kontrabandę Ale, bynajmniej, nie narkotyki a... żywe papugi! 73 ptaki rzadkich gatunków — w upojeniu alkoholowym i z dziobami oklejonymi przylepcem — opakowane w papier, wydobyto ze wszystkich kątów samochodu. Rynkowa wartość tego „towaru" — ok. 10 tys. dolarów...

• • •

Nowy Jork — międzynarodowe lonisko im. J. Kennedy'ego. Pracownik kompanii lotniczej zauważył kłak futra wystający z kontenera z napisem „skóry". Urzędnicy ochrony celnej wszczęli dochodzenie i wykryli organizację przemytników, którzy w przeciągu 18 miesięcy skupili i sprzedali około 100 tys. skór południowoamerykańskich żbików, gepardów, pum, jaguarów wydr i innych, ogólnej wartości ponad 5 mln dolarów.

Nielegalny handel w tej dziedzinie przynosi bajeczne dochody, porównywalne tylko z podziemnym handlem narkotykami. W USA panuje obecnie „szalona" moda na zwierzęta i dekoracyjne ptaki, granicząca niekiedy z manią. Ostatni przykład: po wyświetleniu w telewizji szlagierowego serialu „Baretta", w którym ulubienica głównego bohatera jest papuga o imieniu „Fred", ceny kakadu podskoczyły ze 100 do 6.000 dolarów za sztukę! Ten rodzaj papugi przemyca się z Australii, skąd eksport tych ptaków jest zabroniony.

(C)

WIELE ZALEŻY OD POGODY

Z amerykańskim specjalistą od oddziaływania warunków zewnętrznych na organizm człowieka — dr STEPHENEM ROSENEM rozmawia przedstawiciel „U.S. NEWS AND WORLD REPORT".

— Doktorze Rosen, proszę przedstawić kilka sposobów oddziaływania pogody na życie ludzkie.

— Nasz dzisiejszy nastrój jest często określany przez pogodę, jaka panowała wczoraj, a nawet przedwczoraj. Pogoda może pogorszyć już istniejący zły stan zdrowia.

Przypominam sobie, że w pewne wietrzne popołudnie styczniowe pomogłem pewnej starszej pani; trzymała się ona kurczowo drzewa, a lodowaty wiatr szalał po ulicy. Kiedy zapytałem ją, czy mogę jej pomóc, odpowiedziała: — Tak. Jestem chora na serce i nie mogę oddychać przy zimnym wietrze.

Pewien sierżant policji powiedział mi: — Służyłem na ulicy przez 10 lat. Podczas gorącej, wilgotnej, lepkiej pogody zawsze następuje wzrost zachowań agresywnych. Po prostu dlatego, że podczas gorącej pogody na ulicy jest znacznie więcej ludzi i są oni bardziej podatni na zachowania gwałtowne.

Wypadki przy pracy zdarzają się najczęściej podczas napływu gorących mas powietrza oraz podczas burz z piorunami. Częstotliwość wypadków maleje w okresie chłodów. Psychiatrzy wiedzą od dawna, że nadejście złej pogody może łatwo wytrącić osoby niestabilne z równowagi.

— Czy uważa Pan, że wrażliwość na pogodę jest różna w zależności od typu osobowości?

— Osobą najbardziej odporną na warunki atmosferyczne jest mężczyzna pochodzący z klasy średniej, muskularny, przeciętnej budowy ciała, ani wysoki, ani korpulentny, o spokojnym usposobieniu i raczej ekstrawertyk. Osobą najbardziej wrażliwą na pogodę jest kobieta raczej wysmukła lub bardzo pulchna, nastolatka, bądź też około sześćdziesiątki i starsza, trwożliwa, o pewnych zahamowaniach, niespokojna i ulegająca depresjom.

— Jakie są najczęściej przejawy wrażliwości na pogodę?

— Jest to długa lista obejmująca zmęczenie, złe nastroje, złe nastawienie do pracy, ucisk w głowie, niespokojny lub zakłócony sen, bóle głowy, brak pamięci i wiele innych. Te i inne symptomy występują u osób cieszących się doskonałym zdrowiem, które nawet nie przypisują swoich cierpień pogodzie, a mimo to padają jej ofiarami.

Pogoda jest formą stresu i jej zmiany mogą mieć skutki stresowe. Organizm usiłuje zachować równowagę cieplną we wszystkich warunkach zewnętrznych. Na przykład, podczas gorącej pogody rozszerzają się arterie, by dopomóc organizmowi w wydzielaniu nadmiaru ciepła. Podczas chłodnej pogody zwężają się, by ciepło zatrzymać. Pociąga to za sobą zmiany w składzie krwi, zmiany chemiczne w organizmie i wpływa na dotlenienie mózgu, a wszystko to powoduje zmiany samopoczucia i sposobu bycia. Jeśli zmiana pogody następuje gwałtownie, osobnik może być pełen werwy i animuszu jednego dnia, a ospały i zdeprymowany następnego.

— Czy przy stanie wiedzy, jaką posiadamy, jest możliwe, by meteorolodzy ostrzegali ludzi co do ich samopoczucia, zdrowia i nastroju na podstawie prognozy pogody na jutro?

— Oczywiście, tego typu prognozy są już publikowane w w Europie. W RFN na przykład dostarcza się „system bioprognoz" lekarzom i szpitalom, uprzedzając o nadchodzących zmianach pogody, które mogą mieć wpływ na pacjentów.

Sztuczne satelity, komputery i inne urządzenia pozwoliły zrobić duży krok naprzód w zakresie dokładności prognoz pogody. Bogactwo dostępnych informacji meteorologicznych nie rozwiązuje jednak sprawy. Szczegółowe prognozy nie dają ludziom porady, jaki rodzaj odzieży powinni włożyć, ani jak dostosować się do zmiany pogody. Ludzie chcą wiedzieć, jaki jest wpływ pogody na ich własne życie.

Niech mi Pan pozwoli zacytować prognozę pogody, jaką — być może — będziemy otrzymywać w przyszłości. Będzie ona połączeniem standardowej prognozy ze skutkami pogody dla ludzi.

„Zatoka niskiego ciśnienia przesuwa się dziś nad nasz region, powodując lekkie zachmurzenie i słabe wiatry południowe. Nadchodzący front ciepły może spowodować tej nocy przelotne deszcze. Dzisiejsza pogoda może silnie i niekorzystnie odbić się na zdrowiu Państwa. Dolegliwości zdrowotne i zużycie lekarstw poważnie wzrosną. Również wysoka będzie wrażliwość Państwa na ból, zmęczenie i nerwowość.

Ponieważ refleks Państwa będzie osłabiony, dziś wieczór proszę wystrzegać się wypadków ulicznych i wypadków przy pracy. Nie będziecie Państwo raczej dobrze spali. Państwa wydajność pracy i stosunek do niej mogą się pogorszyć, a wytrzymałość i poziom energii będą niskie. Przy tego rodzaju warunkach atmosferycznych często wzrasta przestępczość.

Jeśli jesteście Państwo podatni na wpływ warunków atmosferycznych, możecie cierpieć na nerwobóle oraz na artretyzm i reumatyzm. Ponadto mogą wystąpić powszechnie — niskie napięcie mięśni, ataki astmy i bronchitu, bóle klatki piersiowej, skurcze mięśni, krwotoki i migreny, dlatego też należy zasięgnąć porady lekarza".

— Czy klimat w różny sposób wpływa na zdrowie i samopoczucie ludzi w różnych częściach świata?

— Geograf z Yale, Ellsworth Huntington, obok innych, wysunął tezę, że klimat stymuluje dokonania. Dowodził on, że żadna wielka cywilizacja nie rozwinęła się w rejonach polarnych czy tropikalnych.

Najbardziej produktywne i trwałe cywilizacje — z miastami takimi, jak Nowy Jork, Chicago, Los Angeles, Amsterdam, Londyn, Paryż, Berlin, Rzym, Moskwa, Pekin — leżą wszystkie między trzydziestym i sześćdziesiątym stopniem szerokości geograficznej północnej. Klimaty dające ludzkości największą energię znajdują się w rejonach, gdzie występują częste, łagodne burze, umiarkowane, opady, a średnia temperatura lata wynosi od 22 do 33 stopni Celsjusza. Wyzwanie rzucane przez otoczenie zmusza mieszkańców strefy klimatu umiarkowanego do wykorzystywania całej pomysłowości, by przeżyć, a przez to uczy ich, jak rozwiązywać inne problemy.

— Co wykazały Pańskie badania nad wpływem pogody na czołowe postacie historyczne?

— Niektóre indywidualności były wyjątkowo wrażliwe na zmiany pogody. Byli wśród nich Byron, Dante, Goethe, da Vinci, Napoleon, Mozart, Wolter. Goethe określił samego siebie jako „żywy barometr" i bardzo cierpiał w chwilach, kiedy następowały gwałtowne zmiany ciśnienia atmosferycznego.

— Co ludzie mogą zrobić, by zmniejszyć skutki stanów ekstremalnych lub gwałtownych zmian pogody?

— Zestawiłem listę rad. Oto kilka z nich:

Kiedy jest gorąco, należy jeść jarzyny, sałaty i węglowodany oraz pić dużo płynów. Uzupełniać traconą wodę co godzinę, niezależnie od tego, czy występuje pragnienie. Zmniejszenie apetytu jest sprawą normalną, bowiem jest to wynikiem adaptacji do upałów.

W klimacie wyjątkowo zimnym, lub przy zimnej pogodzie jeść potrawy o dużej zawartości białka i tłuszczu, by organizm produkował więcej ciepła. Pięć posiłków dziennie spowoduje lepsze wykorzystanie tłuszczu niż trzy posiłki.

Podczas fal upałów, lub dużego gorąca należy unikać stresów emocjonalnych, zbyt intensywnych ćwiczeń fizycznych i wytężonej pracy. W zimie używać nawilżaczy, zakładać pojemniki z wodą na kaloryfery lub gotować wodę na kuchni — czyli robić wszystko, by nawilżyć powietrze. Będziecie się czuli znacznie lepiej, a wasza skóra i błona śluzowa będą wam wdzięczne za tę wilgoć.

Wakacje należy planować mając na uwadze klimat. Podczas urlopu na nartach należy poświęcić co najmniej 3 dni na zaaklimatyzowanie się, by uniknąć wypadków powodowanych zwolnioną reakcją. Należy różnicować miejsca wakacji; wybierać kolejno wybrzeże morskie, góry, a nawet miejscowości uzdrowiskowe, jak też miejsca, gdzie można korzystać z sauny, kąpieli powietrznych, czy słonecznych. Ciśnienie krwi spadnie podczas podróży do rejonów o gorącym klimacie, a wzrośnie w rejonach chłodnych. Osoby o niskim ciśnieniu winny zasięgnąć porady lekarza przed podróżą na południe w zimie, osoby o wysokim ciśnieniu winny to uczynić podczas podróży na północ.

KONIEC WAKACJI

ODCINEK II

WACŁAW BILIŃSKI

Zarekwirowany Buick trzyma się wyznaczonej marszruty, Klon-Sawicki smacznie śpi, na tylnych siedzeniach drzemie plutonowy a chwilami podsypia i podporucznik Kossowicz. Mijają w tym czasie jeszcze brzydsze od Łodzi Pabianice, o tej porze śpiącą Kolumnę, kurort pełen żydowskich, łódzkich letników. Z boku zostaje Łask. Poprawia się bruk w Zduńskiej Woli. A potem znów droga kiepska i Buick trzęsie niemiłosiernie. Ale oni śpią jak susły. Mamy zatem czas, by opowiedzieć szczegółowo perypetie „wejścia w urzędowanie" podporucznika Kossowicza.

Zambrów, podchorążówka, pułk, wszystko to, cała wojskowa przeszłość należała, jak się okazało do przeszłości. A także służba, rygory, dryl, hierarchia. W Łodzi od czerwca — jakby jakiś urząd, jakby szczególna, niepokojąco tajemnicza biurokracja. Zameldowawszy się w Komendzie Miasta skierowany został na miejsce służby do imponującej, ale całkiem cywilnej kamienicy blisko Dworca Fabrycznego. Tam, po długim wyczekiwaniu w adiutanturze, niepodobnej do żadnej innej ze znanych mu dotychczas, Kossowicz stanął wreszcie przed obliczem krępego, łysego pułkownika, o opalonej na brąz czaszce i niemile świdrujących oczach. Interesował się on rodziną Adama i pobrzmiewało to tak, jakby losy całych generacji Kossowiczów były mu dobrze znane. Nieuważnie kartkował wpięte w skoroszyt akta Kossowicza (miał je już przygotowane na biurku). Pytał o wiedeńskie, dawno wygasłe rodzinne koneksje. Potem wdał się w dyskusję światopoglądową. Adam wysłuchał, że Włosi ze swym faszyzmem to jedno, a ci przeklęci szwabi z Hitlerem — „ten wąsik i ten pląsik" — to całkiem co innego. Że Austriacy (znam ja ich, znam!) to coś jeszcze całkiem różnego. Bez przekonania godził się z opinią pułkownika, Niemcy hitlerowskie są zupełnie odosobnione w Europie, ba, na świecie. W 1937, na pamiętnym, a zarazem nudnawym — jak uważał Adam — Kongresie Kultury Polskiej mówiło się wręcz coś przeciwnego.

Kossowicz dowiedział się, że jest potrzebny wojsku, a najbardziej tu, w sztabie. Jako ekspert od spraw językowych ma pan ku t mu pełne kwalifikacje. Jestem belfrem, chciał odpowiedzieć Adam, lecz zamiast tego potwierdził: Tak jest. Wobec tego pora objąć posterunek na pierwszym piętrze, pokój nr 7, tam czekają na pana, poruczniku, książki i gazety. Ma pan od dziś obowiązek wnikliwie śledzić prasę niemiecką. I co dzień redagować dla naszego sztabu (chodziło chyba o sztab armii Łódź) krótki, zwięzły ekstrakt z tych ich tam szwabskich elukubracji. W szczególności: nastroje, opinie niemieckich grup politycznych itp. Jasne?

— Tak jest — znów zgodliwie i potulnie powiedział Kossowicz.

— A to co się tu dzieje (tu — to znaczyło: w tej dziwnej, cywilnej do niedawna kamienicy) nic pana nie obchodzi. Im mniej pytań i ciekawości tym lepiej. Jasne?

— Tak jest.

— Uszy zatkane. Usta zasznurowane. Oczy zamknięte.

— Tak jest.

— Szczególnie usta zasznurowane — powtórzył pułkownik dobitnie. — Jak byłem młody, to i mnie tak uczono. Czy na świętej spowiedzi, czy w łóżku... Lubicie w łóżku rozmawiać?

— Raczej nie.

— Znamy was, młodych — i coś tam skojarzywszy — Pan ma zamiar się żenić? (skąd on to wie?).

Gdyby Adamowi — naszemu cybarycie i pacyfiście kiedykolwiek powiedziano, że będzie służył w osławionej „Dwójce", żachnąłby się i niechybnie zaprotestował. Owa „instytucja" (ten na własny użytek wymyślony kryptonim lepiej w jego pojęciu pasował do „Dwójki" niż tradycyjne określenie: pododdział, jednostka, czy coś w tym rodzaju), otóż owa „instytucja" nigdy nie cieszyła się sympatią Kossowicza. Ale od marca sytuacja się zmieniła. Groził konflikt z Niemcami hitlerowskimi. Rachunek krzywd w ojczyźnie itp., itd. Wszyscy jesteśmy Polakami! Kochajmy się! (z pewnymi tylko wyjątkami). W tej sytuacji godzi się wypełnić obywatelski obowiązek zgodnie z przydziałem MOB. Tylko skąd ten przydział?

Klon szybko stracił wówczas zainteresowanie dla siedzącego przed jego biurkiem półcywila. Nakazał adiutantowi wezwać jakiegoś kapitana Wolskiego. Nim on przyszedł, zabrał się do lektury maszynopisów. Adam w milczeniu czekał. Wreszcie zjawił się ów kapitan — wysoki i bardzo chudy, robił wrażenie człowieka, którego bolą zęby. Pułkownik oddał Kossowicza w jego ręce.

Kapitan przywitał się oschle i poprowadził Adama do pokoju nr 7 na pierwszym piętrze, przekręcił klucz tkwiący w zamku, pchnął lekko Kossowicza, który utknął na progu i powiedział grobowym głosem:

— To pański pokój. Od tej chwili. A teraz pogadamy o służbie...

— Panie kapitanie! — zdecydował się zrzucić z serca brzemię. — Ja nie mam pojęcia o takiej służbie. I nie wiem, czy się nadaję... A nawet wątpię.

Wolski uśmiechnął się sennie.

— Myśli pan, kolego, że my nie wiemy tu wszystkiego o panu? — powiedział pobłażliwie i jakby ubawiony taką możliwością. — Że wzięlibyśmy do nas (to „do nas" ze szczególną, podkreśloną intencją) kogoś niewiadomego? Nadaje się pan. Nadaje!

— Ale ja nic takiego nie robiłem. Nie umiem...

— Niech pan słucha. — Tu Wolski spojrzał na zegarek. — Za godzinę wyjeżdżam, więc się pośpieszmy. Nie trzeba robić zbędnych notatek. Nie wynosić niczego z tego pokoju. Wyrobić w sobie taki nawyk. Niech pan, do diabła, wreszcie usiądzie. Ja jestem po to, żeby pana wprowadzić w tę pracę. Więc jeśli będzie pan miał jakieś wątpliwości. Do mnie. Co prawda mam roboty na czterdzieści osiem godzin na dobę, ale będę się starał znaleźć trochę czasu. Bylebyśmy go nie tracili na próżno.

— Tak jest — powiedział służbiście (jak mu się zdawało) Adam.

— I niech pan skończy z tymi obyczajami z pułku. Nas one właściwie nie obowiązują. Już pan nie jest dowódcą plutonu.

Zaciągnął się głęboko i przymykając oczy zaczął monotonnym głosem, jakby nawykły do takiego właśnie referowania.

— Pierwsza sprawa: pańska znajomość Austrii, Wiednia, nie na wiele się przyda. Inne czasy, inne Niemcy. No i ta Łódź! O ile pamiętam, pan jest z terenów de facto bez mniejszości niemieckiej. Tam u was, według spisu ludności z trzydziestego pierwszego roku jest Niemców w całym województwie bodajże tylko dwanaście tysięcy. Sprawdziłem to dziś, zajrzałem do rocznika statystycznego. Łódź, to naprawdę zupełnie inny problem. Miasto trójnarodowościowe. W województwie łódzkim mamy Niemców, oficjalnie, pan rozumie oficjalnie, ponad sto pięćdziesiąt tysięcy. Myślę, że w rzeczywistości jest ich więcej. Ta nadwyżka może być dla nas jeszcze groźniejsza niż ci, co przyznają się do swej niemieckości. W sytuacji obecnej, sam pan rozumie, co to znaczy. Chociaż ci, nazwijmy to tak, oficjalni Niemcy, to też coraz bardziej skonsolidowany prohitlerowski monolit.

Adam westchnął.

— No, właśnie — powiedział kapitan. — Sprawę komplikują jeszcze i układy..., hm... powiedzmy ekonomiczne. Pięćdziesiąt procent łódzkiego przemysłu należy oficjalnie do Niemców. Niech pan tylko pomyśli: pięćdziesiąt procent! Przeszło sto trzydzieści większych łódzkich zakładów przemysłowych. Słyszał pan kiedy takie nazwiska jak Biedermann, Eisenkranz, Schweikert, Krönig, Buckle, Müller i Seidel czy Järich. To nie tylko milionerzy, ale i politycy. Z jakimi stosunkami! Z jakim zapleczem! Do pana wiadomości: każda nasza akcja jest natychmiast kontrowana z Warszawy. Bądź przez Niemców, senatorów czy posłów na Sejm, bądź przez tzw. akcje dobrej woli. Dla przykładu: zrobię u któregoś z tych wpływowych panów rewizję, bo wiem, że mam szansę przyłapać jakiś poważny materiał. Nie błahostki, hitlerowską bibułę, czy nielegalne druki, ale radiostację, może broń. Widział pan te fabrykanckie pałace, w ich zakamarkach jest gdzie co ukryć. Jeśli uda mi się odnaleźć skrytki, no i coś tam znajdę, nazajutrz zaraz któraś z warszawskich ambasad się w to wmiesza. Z misją dobrej woli. Z interwencją na rzecz biednych prześladowanych łódzkich Niemców.

I co wtedy?

— Miałem taki wypadek w ubiegłym tygodniu. Odkopałem, a jak się bałem, że nic tam nie będzie, nowiutką radiostację. Przymknąłem fabrykanta. O, raju, gdybym mógł go naprawdę przycisnąć! Gdzie tam. Tu nocował, na trzecim piętrze, na łóżeczku polowym. Rzecz jasna oświadczył, że nic nie wie o żadnej radiostacji. Trzy dni temu zniknął jego szofer. Niby że to była jego sprawka. A rano, pięć minut po ósmej — telefon z Warszawy. Żeby drania natychmiast zwolnić.

— Wesoło.

— Ale pana to właściwie mało dotyczy. Inny odcinek pracy. Wdaję się w takie szczegóły, bo chcę, żeby pan wiedział co mamy pod nogami. Najlepiej będzie jak pan przestudiuje łódzką książkę telefoniczną. Bardzo pouczająca lektura. Ona panu wiele wyjaśni.

Pochylił się przez biurko i wyciągnął jego boczną szufladę, a z niej książkę, przekartkował ją i zaczął czytać:

— Litera A. Abbe, Abel, Abend, Aberstein, Abkin, Abraham, Atrament, Abramsohn, Abzac, Achenbach, Amiałkin, Adach i wreszcie na samym dole stronicy Adamecki...

Zatrzasnął książkę i wrzucił ją do szuflady.

— Taka jest Łódź — powiedział. — To jest nasz teren. Tu pracujemy. Trzeba, żeby pan o tym pamiętał.

Adam się uśmiechnął.

— Na ostatnich ćwiczeniach wspierały nas pododdziały generała Abrahama — powiedział.

— Nazwiska to jeszcze nie kryterium.

— Oczywiście — zgodził się kapitan. — I musimy o tym też pamiętać.

— No, a Żydzi? — powiedział Kossowicz, bo przypomniał sobie Poldka Kahane i jego antyhitlerowskie tyrady. — Przecież w sytuacji, kiedy mamy przed sobą... no... możliwość konfliktu z Hitlerem... Oni są chyba po naszej stronie?

— W czasie pierwszej wojny światowej byli nastawieni wyraźnie germanofilsko, a i teraz bywają wyjątki. Niemcy szukają sposobów, by wykorzystać sytuację. Są mistrzami w grze wywiadowczej. I nie mają skrupułów.

Adam nagle dobył z literackiej szuflady swej pamięci czytany kiedyś reportaż (chyba Pruszyńskiego?) o Żydzie — hitlerowcu. Co za absurd! A kapitan mówił monotonnie:

— Likwidowaliśmy i takie niemieckie siatki szpiegowskie, w których ważną rolę odgrywali Żydzi. W jednym wypadku w grę wchodziły narkotyki, w innym pieniądze. W jeszcze innym szantaż, gra na uczuciach rodzinnych. Rozumie pan? Próba ocalenia za wszelką cenę kogoś bliskiego. Ludzkie sprawy. W Łodzi jest duża grupa uciekinierów z Niemiec. Zresztą nie tylko Żydów. Różnie bywa. Ja do tych ludzi odnoszę się z... hm... z profesjonalną nieufnością. Ale jeszcze o tym kiedyś pomówimy.

Spojrzał na zegarek.

— Bo teraz, niestety, czas na mnie. Tyle mamy roboty. Zatem pierwsze instrukcje: w środkowej szufladzie znajdzie pan mój ostatni wyciąg z prasy niemieckiej. Bo dotąd ja to musiałem robić. Proszę o pobłażliwość, nie jestem jak pan filologiem.

Znów sięgnął przez biurko i z drugiej strony otworzył szufladę. Wyjął z niej zadrukowany arkusik. Rzucił go na blat biurka, przed Adamem.

— Z tych niemieckich pism będzie pan robił wyciągi, omówienia. Jakoś sobie pan z tym poradzi.

Adam spojrzał na arkusik. Widniała na nim długa kolumna tytułów: Der Volksfreund. Der Deutsche Weg. Freie Presse. Lodzer Volkszeitung, Neue Lodzer Zeitung, Deutsche Rundschau in Polen itd., itd.

— Potem pan to przestudiuje, — powiedział Wolski. — W Polsce wychodzi dla tej umęczonej mniejszości niemieckiej ponad sto pism. Będzie pan miał pod dostatkiem lektury. W samej tylko Łodzi chyba dwadzieścia! Największe takie skupisko w Polsce. Oczywiście, nie może pan tego studiować od deski do deski. Czasu brak. Po prostu niech pan wychwytuje wszystko, co sygnalizuje nastroje mniejszości niemieckiej. Niech pan to odczytuje niejako przez pryzmat interesów armii. Jasne? Cóż począć, taki jest stan faktyczny. Mamy takich ludzi na swym terenie. Może w niedalekiej przyszłości znajdą się oni na zapleczu frontu. Takie musi być nasze założenie. Mamy ich, Bozia nas nimi obdarzyła. Więc musimy patrzyć im na ręce. Nastroje. Na co sobie pozwalają. Próby siania defetyzmu. Czy determinacja w wystąpieniach antypolskich. Jasne?

— Przeczyta pan moje pierwsze wypracowanie?

— Postaram się jutro wpaść do pana. Ale proszę nie czekać. Nie obiecuję na mur. Może się coś zdarzyć.

— Tak jest.

— Niech pan przestanie z tym „tak jest", bo działa mi to na nerwy.

— A jeśli ja sobie nie dam z tym rady? — jęknął Adam.

— Świetnie pan sobie z tym poradzi. Jestem pewny. Ale to jeszcze nie wszystko. Choć te codzienne wyciągi są ważne, pierwszoplanowe pańskie zadanie, to możliwie najszybszy przekład słownika, jaki znajdzie pan w środkowej szufladzie. To już naprawdę bojowe zadanie. Obrazkowy słownik niemiecki pt. Wehrsprache. Musimy mieć jak najszybciej ten przekład. Trzeba go doprowadzić do sztabu każdego batalionu. Okazuje się, że wśród naszych oficerów francuski jest lepiej znany niż niemiecki.

Znów spojrzał na zegarek.

— Ale na mnie już czas.

* * *

Przed Sieradzem, na drodze malowniczo wysadzanej starymi lipami, lecz pełnej zdradzieckich wybojów złapali dętkę. Strzeliło jak z karabinu, ale pułkownik spał nadal kamiennym snem, z głową odchyloną na oparcie, chrapał straszliwie, z poświstem i gulgotem. Kierowca, milkliwy dotąd kapral, przeklinał polskie drogi i poprzedniego właściciela Buicka. I ten sukinsyn przysyła swego szofera co drugi dzień, żeby węszył jak się z jego limuzyną wojsko obchodzi! Łódzcy ludzie dobrze znają tego fabrykanta. Mają go na oku. A fabrykant w strachu. On Żyd, to i Hitlera się boi. Boi się i stracić Buicka. I pałac. I miliony. Ma się o co bać! Bo takim jak ja, to co? Wojna, to wojna! Tyle, że po niej się niejedno zmieni.

Zenek nagle zainteresował się tym monologiem.

— Co mianowicie? — spytał podchwytliwie. — Jakie niby będą te zmiany?

— Plutonowy nie będzie taki bystrzak. Mnie za słówka łapać? — zeźlił się kierowca. — Ja tam niczego się nie boję. Powiem co myślę: jak będzie wojna, to krwiopijców diabli wezmą.

A Zenek znów podchwytliwie. — Jakich krwiopijców?

Kierowca chwyta lewarek, okiem łypie jakby brała go pokusa przyłożyć Zenkowi po łbie. W ukropie, jaki mimo rannej pory rozlał się na szosie, zmiana koła to ciężka charówka. Może stąd i nerwy nie na wodzy. kolejny wybuch gniewu.

— A odpieprz się ode mnie! I coś tam jeszcze...

Adam oniemiał, czeka na reakcję Zenka. Co teraz będzie? Ale nic się nie dzieje. Szofer pod akompaniament przeżuwanych klątw i wyzwisk tyra przy wymianie koła, a Zenek wcale nie obrażony śmieje się.

— Poleżym na trawie — proponuje Adamowi. Przeskakują na drugą stronę drogi, kładą się we wrzosowisku za rowem.

— Jak pan myśli, jedziemy na długo?

— Alboż to kiedy wiadomo? — wzruszył ramionami plutonowy. — Może wrócimy dzisiaj. A może zostaniemy tam do końca wojny?

— Do końca wojny? — przestraszył się Kossowicz. — To pan wierzy, że będzie wojna?

— Ja to jestem w ogóle wierzący — powiedział z głupia frant Zenek. Ziewnął szeroko i zawołał do kierowcy: — No, ty, nerwowy, jak będzie? Pojedziem tą twoją żydowską karetą, czy od razu iść do sołtysa po podwodę?

Adam poczęstował plutonowego papierosem, sam zapalił.

— Sam pan takie kręci? — wydziwiał Zenek. — Dziewice takie palą.

Za gorąco na rozmowę. Znów więc na plecy, w te zioła, wzrok w niebo. Kółka dymu w zamyśleniu wypuszczane. I dobrze, pomyślał Kossowicz. Jest jak jest! Mocno pachnie zwiędła trawa i żółknące już listowie akacji.

cdn.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

POD ZNAKIEM FILMU I SPORTU

Co ukoi, stargane przez niekorzystne sytuacje biometeorologiczne, samopoczucie telewidzów? Oczywiście filmy i transmisje sportowe. Czym tv najłatwiej wypełni godziny swojego programu? Odpowiedź jak wyżej. I tak widz syty i telewizja cała. Jeszcze trochę lekkiej piosenki i Edyta Wojtczak w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku może zapowiadać kolejne pozycje programu. Taka też była receptura sobotnio-niedzielnego relaksu. Redakcja sportowa stawała na głowie (co znaczy odpowiedni trening!) aby najpierw z Mistrzostw Europy w tenisie amatorskim, potem z Mistrzostw Polski w lekkoatletyce, Mistrzostw Świata w pięcioboju oraz z rozgrywek ligowych wykroić najbardziej emocjonujące kawałki. A tu deszcz, fatalne losowanie koni, no i obniżenie formy. Na nic wykrzyknienia sprawozdawców, że niby to co oglądać nam wypadło jest jednak emocjonujące. Nawet bardzo wyrozumowany wybór meczu ligowego — rywalizacja Mistrza Polski ze zdobywcą Pucharu — nie poruszył naszej wyobraźni. Co najwyżej zirytował mało przemyślanymi działaniami sędziego. Nie chciałbym wkraczać na teren zarezerwowany dla Bogdy Madej ale zapytam: czy naprawdę za wszelką cenę i wbrew oczywistym faktom należy bronić autorytetu sędziego, który nie dość, że popełnia błędy, to zasłania się jeszcze żółtą kartką? Niejednokrotnie sprawozdawcy telewizyjni aż kipią ze złości na widok nieodpowiedzialnego gestu arbitra, ale gryzą się w język i wtedy słyszymy „sędzia widzi lepiej", „decyzja sędziego jest nieodwołalna". A w słowach tych nie ma ani krzty przekonania. Przydałby się w redakcji sportowej jakiś telewizyjny Kukuć, który potrafiłby oddać sprawiedliwość oglądanej rzeczywistości.

Pisałem już w tym miejscu, iż telewizyjna redakcja filmowa goni w piętkę. Ze zrozumieniem, choć ręce czasem opadają, (a raczej powieki), obserwujemy wysiłki zespołu Jacka Fuksiewicza, no bo debiuty, pieniądze, dyrektywy polityki kulturalnej i inne siły wyższe. Te okoliczności coraz częściej nakazują nam cieszyć się czymkolwiek. Wpatrujemy się więc w *„Pętlę na szyi"* *„Czarny chleb"* i *„Jana Krzysztofa"* w oczekiwaniu estetycznych przeżyć wyższego rzędu. Nadzieje te potęgują nazwiska Romain Rollanda (przecież literacki „Jan Krzysztof" jest powieścią prawdziwie dobrą), oraz (zachowując proporcje) Emila Gaboriau, którego kryminały należą do wyróżniającej się klasyki tego gatunku. Jednak ani pierwsza ani druga adaptacja nie dosięga poziomu swoich pierwowzorów. W telewizyjnym „Janie Krzysztofie" postawiono na fabułę, natomiast w kryminale według Gaboriau na aspekty społeczne i psychologiczne sensacyjnej intrygi, czyli wbrew poetyce adaptowanych powieści na plan pierwszy wysunięto wartości drugorzędne. Efekty jak widać. A w ogóle coś nie mamy szczęścia do filmu francuskiego. Z obejrzanej niedawno serii „Historia filmu francuskiego", wynika, że wszystko co było warte uwagi mamy już poza sobą, także na małym ekranie TVP. Produkcja ostatnich lat to odcinanie kuponów z książeczki czekowej, której kredyty są już na wyczerpaniu. Przykładem sobotni obraz o obiecującym tytule „Riffi w Panamie". Gdyby nie Jean Gabin, którego osobowość uczłowiecza każdą bzdurę scenariusza, rzecz byłaby mało strawna. A tak mieliśmy jeszcze jedną okazję oglądania topornej postaci o szlachetnym sercu. Że wysadził w powietrze kilku bezwzględnych gangsterów? Tym lepiej — westchnęli z ulgą nie tylko francuscy policjanci. Ale co z tą Panamą — dziwowali się zapewne widzowie. Owszem bohaterowie latali i do Londynu i do Tokio, bywali w Monachium, ale nigdy w Panamie. Nawet nie wspomnieli słowem o tym egzotycznym kraju. Nie byłoby zagadki, gdyby tłumacz dialogów zechciał sobie zdać sprawę z jednego: bohaterowie „Riffi" posługują się argot, czyli paryską gwarą. W tymże argot słowo „Paname" oznacza po prostu Paryż. Zatem oglądaliśmy „Riffi w Paryżu" a nie w żadnej Panamie. Jeśli już o francuszczyźnie telewizyjnej mowa to przyczepmy się do kolejnego przejęzyczenia. Bodaj Bogusław Mach czytający czołówkę „Jana Krzysztofa" od kilku niedziel nazwisko reżysera tego serialu wymawia „de vije" zamiast „de wilije"

Na koniec chciałbym się podzielić jeszcze jedną satysfakcją filmową ostatniego telewizyjnego tygodnia. Była nią z całą pewnością monograficzna edycja „Latarni Czarnoksięskiej" poświęcona Fritzowi Langowi. Obejrzeliśmy w niej także jego film „Pożądanie" oparty o „Bestię ludzką" Emila Zoli. Nie dziwił się Aleksander Jackiewicz i my także — po obejrzeniu filmu — iż francuska „nowa fala" wybrała tego reżysera na jednego ze swoich patronów. Wiekowy przecież obraz zastanawia wciąż maestrią reżyserii i montażu, znakomitym aktorstwem, solidnym warsztatem. Wprawdzie piętno czasu odbija się na pomysłach inscenizacyjnych, na sposobach ustawienia aktorów czy na operowaniu światłem, to przecież są to cechy, które dodają patyny, jakby dowartościowują rzeczywistość i konflikt ekranowy.

„A mnie jest szkoda lata" — coraz częściej śpiewają w telewizji gwiazdy i gwiazdki. Mnie nie. Uczucie to pogłębia nie tylko deszcz za oknem, ale przede wszystkim męki telewizyjnych programistów: jakby tu dać odpór kanikule i znudzonym widzom. Również felietonistom, którzy zamiast (wzorem sprawozdawców sportowych) pisać „sędzia ma rację" czepiają się jakiejś głupiej Panamy.

GRZEGORZ GAZDA

O NACZELNIKU —INACZEJ

Literatura poświęcona Tadeuszowi Kościuszce jest przeogromna, zarówno naukowa, jak i nie pretendująca do miana naukowości. Pisano też o naczelniku z najrozmaitszych punktów widzenia, zajmowano się najróżniejszymi aspektami jego życia i działalności. Jak niegdyś zwracano przede wszystkim uwagę na wojskowo — polityczne aspekty jego działań, tak potem — nie tylko za naszych już czasów — poczęto zwracać coraz to baczniejszą uwagę na ich aspekty społeczne. Wreszcie nadeszła pora na ujęcia, które można by określić mianem „technologicznych": poczęto ukazywać naczelnika jako wybitnego fachowca w zakresie inżynierii wojskowej, kompetentnego zawodowca w swym rzemiośle. Byłoby z pewnością nader interesującą przygodą prześledzenie różnych obrazów Kościuszki, jakie proponowano w naszym powojennym piśmiennictwie, tak jak to w odniesieniu do dawniejszej literatury kościuszkowskiej uczyniła swego czasu Krystyna Śreniowska.

Jest niewątpliwym paradoksem, że mimo całego tego zalewu literatury, mimo iż imię naczelnika znane jest każdemu Polakowi, że jest on uznany za niekwestionowanego bohatera narodowego przez wszystkie właściwie społeczne środowiska, brak w naszej współczesnej historiografii pełnej, wyczerpującej, kompetentnej, naukowej monografii o Kościuszce. Jedyna dotychczas tego rodzaju praca — monografia Tadeusza Korzona — wydana została u schyłku minionego wieku i mimo, że wówczas stanowiła rzeczywiście wydarzenie w naszej historiografii, jest dziś pod wieloma względami przestarzała. Odnosi się to zarówno do jej warstwy informacyjnej, jak to się dziś (niełądnie) powiada: faktograficznej, skoro przybyło mnóstwo nowych ustaleń, jak i warstwy ocen. Dzieło T. Korzona było bowiem przepojone tendencją bliską jego autorowi: uczony odstępował już w czasie jego opracowywania od swych pozytywistycznych przekonań i coraz wyraźniej skłaniał się ku ideom, które w środowisku związanym z Muzeum Narodowym Polskim w Rapperswilu na ziemi szwajcarskiej głosił Teodor Tomasz Jeż w sławnej swego czasu broszurce o „obronie czynnej i Skarbie Narodowym".

Do ogromnego już dziś piśmiennictwa kościuszkowskiego dochodzi właśnie nowa praca: książka Józefa Żurawia, zatytułowana: **„Myśl filozoficzna i społeczna Tadeusza Kościuszki"**, opublikowana przez zasłużone dla naszej historiografii (i nie tylko) wydawnictwo MON (1979). Autorowi tej pracy nie chodzi, rzecz jasna, o to, aby naczelnika — inżyniera zastąpić jakimś innym schematem: Kościuszki — filozofa. Nic z tych rzeczy. Skoro pozostały po naczelniku pewne teksty, świadczące o jego poglądach, skoro zrodziły się w jego kręgu interesujące, bogate w myśli utwory zawierające refleksje o charakterze filozoficznym, aż dziw bierze, że dotąd tak mało przywiązywano do nich wagi, że jak powiada autor — nader niewiele powiedziano dotąd o Kościuszce, jako przedstawicielu polskiej oświeceniowej myśli społecznej, człowieku, który „nie tylko ją znał, ale także rozwijał, wnosząc do niej swój oryginalny wkład".

J. Żuraw nie czyni z naczelnika filozofa, dowodzi wszakże w oparciu o skrzętnie zgromadzony materiał źródłowy, że dysponował on własną wizją „człowieka i świata", że jego poglądy filozoficzno-społeczne przedstawiały się wcale interesująco. Nie wiem, czy uczony nie wpadł przy tym w pewną przesadę, kiedy przypisał Kościuszce stworzenie „oryginalnej orientacji społeczno-filozoficznej"; termin „orientacja" zdaje mi się tu użyty nieszczęśliwie. Ale prawda, że przywódca insurekcji był „nie tylko uczniem myślicieli swego wieku, ale także ich krytykiem", że reprezentował — i głosił — ideały humanistyczne, które wpływały na jego postępowanie. Szczególnie interesująco wypadły pod piórem J. Żurawia rozważania o stosunku Kościuszki do wielkiego zagadnienia rewolucji społecznej. Badacz myśli kościuszkowskiej doszukuje się bowiem w poglądach naczelnika swoistych „zalążków naukowej teorii rozwoju społecznego" powiadając, że dostrzegał on „wielką złożoność sytuacji, jaką wywołuje rewolucja, w czasie której — jego zdaniem — wszystko wychodzi z normalnego biegu, „pasje" i opinie ludzkie działają jak „pioruny", dopóki nie oczyszczą i nie oddalą prądów sobie przeciwstawnych". Przy całym szacunku do interpretacji autora nie wiem jednak, czy nie idzie on zbyt daleko, kiedy doszukuje się w poglądach kościuszkowskich antycypacji... sławnej koncepcji Ludwika Krzywickiego o „wędrówce idei". Swoją drogą koncepcja ta zrobiła u nas ogromną karierę, szkoda wszakże, że nie rozpatruje się jej w kontekście poglądów, przeciw którym została ona wymierzona, a które były nader popularne w środowiskach, z którymi był związany Krzywicki wówczas, kiedy pasjonowały go zagadnienia interpretacji teorii materializmu historycznego.

Nie jest moim zamiarem streszczanie tu książeczki J. Żurawia o społeczno-filozoficznych poglądach naczelnika. Zainteresowanych zagadnieniem odsyłam do lektury tego dziełka. Z pewnością skłoni ono niejednego z czytelników do podjęcia z autorem dyskusji w takich bądź innych sprawach. Z pewnością też ukierunkowując nader interesująco badawcze zainteresowania. J. Żuraw rzucił snop światła na sprawy, które może zdawały się dotąd jasne, ale wyjaśnione nie były przynajmniej dotychczas. Jest to z całą pewnością zasługą autora tego niewielkiego dziełka.

ANDRZEJ F. GRABSKI

KSIĄŻKA O SZCZĘŚLIWEJ, TRUDNEJ MŁODOŚCI

Znany kielecki poeta i prozaik, Ryszard Miernik, opublikował przed kilku miesiącami swoją kolejną książkę, powieść zatytułowaną **„Bursztyn"**. Jej akcja rozgrywa się w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych w środowisku studentów gdańskiej polonistyki. Głównym bohaterem jest chłopak z podkieleckiej wioski, który za miejsce swoich studiów obrał Gdańsk dlatego, że pod Westerplatte walczył jego ojciec.

Lata życiowego startu bohatera przypadają, jak wiemy, na okres w dziejach powojennych szczególnie skomplikowany. Miernik usiłuje zrozumieć i ów niekłamany entuzjazm charakterystyczny dla pierwszych lat i jednocześnie podaje powody, dla których łamały się niedostatecznie silne charaktery, garbiły się niedostatecznie prężne kręgosłupy. Każe swoim postaciom — młodzieży, która czasem po poważnych oporach, czasem bezmyślnie, czasem „dla kariery" wstępuje do ZMP i w organizacji działa — dorastać do nowych zadań. Dorastają jednak nie wszyscy, nie wszyscy rozumieją ideę. Jest więc powieść o konformistach i nonkonformistach, o ludziach uczciwych i nieuczciwych, mądrych i głupich.

Autor mądrzejszy od swoich bohaterów o wiedzę, jaką przyniosło mu współuczestniczenie w trzydziestopięcioleciu, niejednokrotnie spogląda na ich szamotaninę wewnętrzną z przymrużeniem oka.

Jest to jednocześnie powieść o sztafecie pokoleń. Syn westerplatczyka walczy o uznanie dla krytykowanego za rzekome schlebianie drobnomieszczańskim gustom autora **„Pieśni o żołnierzach z Westerplatte"**. I ojca i syna miłości do ojczyzny uczyła martyrologia ziemi kieleckiej. Będzie więc chłopiec pisał pracę magisterską nie o krzywdzie chłopa polskiego w czasach pozytywizmu, ale narażając się na niezadowolenie promotora i „czynnika społecznego" — o miejscach pamięci narodowej Kielecczyzny.

Bohaterowie książki to ludzie młodzi, młodość zaś ma swoje prawa. Miernik z humorem pokazuje nam uroki cyganeryjnego życia biednej, jak mysz kościelna studenterii — rozpolitykowanej, znerwicowanej — ale mimo wszystko swym bardzo trudnym szczęściem szczęśliwej.

W książce nie ma ani taniej dydaktyki, ani natrętnego moralizatorstwa. Jest to na pewno powieść rozrachunkowa. Miernik nie jest jednak efekciarzem, nie wyśmiewa, nie wyszydza — tłumaczy.

Niezaprzeczalnym walorem utworu jest jego język, oszczędny i jednocześnie szalenie precyzyjny. Tu przydała się Miernikowi praktyka poetycka.

Powieść klasycznie skomponowana, posiadająca ciekawą fabułę, wartką akcję, będzie, jak sądzę, interesującą lekturą dla wszystkich tych, którzy czują się już troszeńkę zmęczeni ekstrawagancjami formalnymi nowej prozy. Szczególnie zaś atrakcyjna będzie dla czytelników, których młodość przypadła na pierwsze lata niepodległości. Młodszy brat Kolumbów napisał bowiem odpowiedzialną, rzetelną i uczciwą książkę o trudnym czasie, z którym przyszło mu się zmagać, o nadziejach, zwątpieniach, rozterkach, klęskach i zwycięstwach swojej generacji.

Książka ma mylący, niedobry tytuł. Nie jest bowiem ani powieścią o szczęśliwym życiu posiadacza kamienia przynoszącego ponoć szczęście, ani tym bardziej o technice obróbki kamieni półszlachetnych. Zauważyłam, że tytuły dezinformujące odbiorcę stosują autorzy, albo za bardzo, albo za mało pewni swoich racji. Ci pierwsi książkę o produkcji pasów transmisyjnych gotowi są zatytułować **„Pas cnoty"**, ci drudzy — jak Miernik — uciekają się do taniej metaforyki, bo po prostu nie zdają sobie sprawy z wagi własnego utworu.

Pocieszam się jednak, że trochę miał racji onegdajszy prorok, gdy twierdził, że odbiorca jako tako odżywiony, a do tego chętny, jakoś sobie drogę do dzieła sztuki (w tym wypadku do **„Bursztynu"** Miernika) znajdzie. Naprawdę warto.

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

R. Miernik, „Bursztyn", Łódź 1978.

Ex•LiBRiS ODGŁOSÓW

„RAPSODIA ŻOLIBORSKA"

Książka Stanisława Podlewskiego „Rapsodia żoliborska", poświęcona Powstaniu Warszawskiemu przedstawia przebieg walki na Żoliborzu i w jego rejonie oraz w Puszczy Kampinoskiej. Jest drugą pozycją cyklu, w którym autor zamierza przedstawić walki powstańcze w pięciu dzielnicach Warszawy — na Woli, Starym Mieście, Żoliborzu, Powiślu Czerniakowskim i Mokotowie. Pierwszą pozycją był trzykrotnie już wydawany „Przemarsz przez piekło", opisujący bohaterską obronę Starego Miasta.

„Rapsodia żoliborska", wstrząsający dokument powstańczych zmagań, oparty jest na bogatym materiale źródłowym. Relacje o przebiegu walk Stanisław Podlewski zaczął zbierać już w obozie jenieckim w Sandbostel, dokąd wywieziono go po upadku Powstania Warszawskiego. Po zakończeniu działań wojennych autor przez dwa lata zapisywał informacje dowódców zgrupowań i oddziałów powstańczych AK. Informatorami byli wówczas powstańcy przebywający na terenach Niemiec zajętych przez wojska alianckie. Podlewski wykorzystał w swojej książce również pamiętniki i notatki prowadzone przez wielu oficerów, a także informacje zamieszczone w publikacjach książkowych i artykułach w prasie polskiej i zagranicznej. Wydana obecnie „Rapsodia żoliborska" jest drugim wydaniem. W stosunku do pierwszego wydania w roku 1957, książka jest znacznie poszerzona i poprawiona, niektóre rozdziały zostały opracowane ponownie. Z zakupem książki należy się pośpieszyć, „Rapsodię żoliborską" wydano bowiem w dwudziestotysięcznym nakładzie, który z pewnością nie zadowoli wszystkich czytelników zainteresowanych historią Powstania Warszawskiego.

Stanisław Podlewski, „Rapsodia żoliborska", Instytut Wydawniczy PAX, W-wa 1979, str. 599, cena zł 160.—

„OBRONA WARSZAWY – WRZESIEŃ 1939"

Jeszcze jedna książka, którą wydawca dostarcza nam w najbardziej odpowiednim momencie. Mowa o publikacji Mariana Porwita „Obrona Warszawy — wrzesień 1939 r." — wspomnienia i fakty". Autor, uczestnik obrony Warszawy w dniach 7—9 września był dowódcą dyspozycyjnym generała brygady Waleriana Czumy, dowódcy obrony Warszawy, od 10 września do kapitulacji Warszawy był dowódcą tzw. „Odcinka Warszawa—Zachód". Pisał swoją książkę przede wszystkim w oparciu o wspomnienia własne, w oparciu o dokumenty i materiały historyczne, wreszcie wykorzystując informacje innych uczestników wrześniowych walk w Warszawie.

Obecna edycja „Obrony Warszawy" jest już czwartą z kolei, uzupełnioną o dodatkowe relacje i informacje, bo jak pisze autor, „to normalna kolej wszelkiej historiografii walk, w całej pełni zrozumiała w warunkach, w jakich powstała i toczyła się obrona Warszawy". Książkę Mariana Porwita trzeba traktować jako syntezę historyczną, nawet mimo niepełnych materiałów. Im więcej jednak tego typu publikacji, tym pełniejszy będzie obraz bohaterskiej obrony Warszawy, tym głębsza pamięć o wrześniu 1939 roku, tym dokładniejsza znajomość historii swojego narodu wśród pokoleń, które wiedzę o tej historii wyniosły już tylko z podręczników szkolnych.

Marian Porwit „Obrona Warszawy — wrzesień 1939", Czytelnik, W-wa 1979, str. 305, cena zł 50.—

„ANTHONY EDEN"

Biografie mężów stanu cieszą się wśród czytelników popularnością z wielu względów. Przybliżają sylwetkę człowieka, od którego w wielkim stopniu zależał kształt polityki danego państwa, odsłaniają szczegóły prywatnego życia dyplomaty. Ale nie tylko. Polityka, dyplomacja poprzez życie i działanie określonego człowieka staje się bardziej zrozumiała, bardziej konkretna i łatwiej może ją odebrać czytelnik nie posiadający większego przygotowania historycznego.

Klarowność wywodów i przystępność stylu książki Włodzimierza Truchanowskiego, poświęconej sylwetce Anthony Edena znakomicie ułatwi lekturę wszystkim, interesującym się historią nie tylko Wielkiej Brytanii, ale i Europy. W podtytule książki „Anthony Eden" czytamy — „Kartki z dziejów dyplomacji brytyjskiej w latach trzydziestych — pięćdziesiątych XX w.". Na te lata bowiem przypadała polityczna działalność Edena, ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii w latach 1933—1938, 1940—1945 i 1951—1955, premiera w latach 1955—1957, przywódcy Partii Konserwatywnej A dodawać właściwie nie trzeba, że okres to w dziejach Europy znaczący, wypełniony takimi wydarzeniami, jak polityka appeasementu („uśmierzanie agresorów"), druga wojna światowa i antyhitlerowska koalicja, powojenna konfrontacja polityki państw socjalistycznych i kapitalistycznych, aż po konflikt sueski, który dla Anthony Edena oznaczał koniec kariery politycznej.

Włodzimierz Truchanowski, „Anthony Eden", KiW, W-wa 1979, str. 510, cena zł 100.—

FELIKS RAJCZAK

GWIAZDA MOICH DRÓG

Wierna jest moja pamięć o miejscu na ziemi, z którego po raz pierwszy zobaczyłem słońce i w którym wypowiedziałem pierwsze słowo. Mówię o miejscu mego urodzenia i wczesnego dzieciństwa.

Czy znajdowała się tu gontyna słowiańska, uświęcone miejsce pogańskich świątków, czy odlegli pradziadowie, mieszkańcy sioła, byli świątobliwymi ludźmi, strzegącymi wierzei pobliskiej świątyni — że ta nazwa wsi: Świątniki...

Pierwsza o niej wiadomość zapisana w historycznych annałach pochodzi z 1407 roku. Moja villa sanctuariorum wchodziła w skład rozległej okolicy, zwanej opolem chropskim (chropensium prowincia), której osią był pabianicki zamek.

Wieś jak ptak rozpostarty nad urodzajnymi polami. Jej jedno skrzydło rozwiewa się w stronę Pabianic, drugie — Konstantynowa, dziób dotyka granic Łodzi, rozciągającej się już nad Nerem, jeszcze czarną rzeką, nad którą stał do niedawna, wśród starych topoli i olszyn młyn murowany, trzypiętrowy, nazywany przez okolicznych mieszkańców młynem świątnickim.

Wieś Świątniki leży na przedpolach wielkiej Łodzi.

William Faulkner miał swoją małą ojczyznę, swoje fikcyjne hrabstwo: Yoknapatawpha. Tam, w tym wymyślonym rejonie świata, żyli jego prawdziwi bohaterowie, żywi ludzie w świetle dnia i cieniu nocy.

Urodziłem się w Polsce gminnej. Polska jest gminą świata. Świat jest gminą kosmosu. Być może kultura naszej planety jest kulturą regionalną. Czy wiemy naprawdę, w jakim znajdujemy się regionie kosmosu?

Nie mam kompleksów gminnych i nie dam sobie ich wmówić snobom z zaczarowanych metropolii.

Stąd wyrastam. A łączy mnie z tą okolicą — pamięć plemienna. I wspiera miłość do ziemi, która mnie zrodziła, stała się domem wyobraźni, miejscem pracy i twórczości — w czasie minionym, teraźniejszym i przyszłym. Wybiegam poza jej granice, w górne rejony układu słonecznego i społecznego, lecz zawsze tu powracam żywą myślą.

Mogłem więc jeden ze swych wierszy rozpocząć słowami:

Gwiazda moich dróg
Nad rodzinnym domem.

BAŚŃ O ORACZU CO ZIEMIĘ SOBIE NADAŁ

1
Człowiek wędrowny
i zmordowany
szedł polem-lasem
wykarczowanym

2
„Tu mój Oraczew
moje wyrajsko
tutaj posiędę
ziemię bezpańską

3
„Zaorzę zagon
żyto zasieję
obrodzą kłosy
plewy odwieję

4
„Z mąki i wody
wypiekę chleby
i pojmę córę
kmiecia Poredy

5
„Ona ognisko
nasze podtrzyma
I przyjdzie wiosna
gdy minie zima

6
Ułożył człowiek
ciało swe w pałąk
zasnął w korzeniach
pod brzozą białą

7
Sen miał wilgotny
i nieodgadły
Płakał o świcie
i nie brał jadła

8
Co we śnie prześnił
stracił na wieki
Rozstał się z Bogiem
witał z Człowiekiem

9
Z kniei zwierzęta
patrzyły w niego
Człowiek był blisko
a Bóg daleko

10
I rosły wokół
ziela i stada
Człowiek się dwignął
i ujął radła

LUD I POECI

Milczą z ludem nad wodą
Czystą i głęboką
Gołąb z gałązką oliwną
Przynosi im wysokość

Nieprzebrane są dźwięki
Ani ciernie nie zdjęte
Lud i poeci uklękli
Na ziemi wiecznej i świętej

I dopowiedzieć się nie da
Do ostatniego słowa
Ani krwią ni milczeniem
Pieśń się zaczyna od nowa

POD TĄ CHMURĄ

Pod tą chmurą gradową
moja matka z koszykiem
pałąkowym, z łoziny,
schodzi z pola, nać niesie
dla żyjącej gadziny.

Imię jej na języku
jak łut soli w potrawie,
jako głód pod wątrobą,
i jak echo wiosenne,
co minęło się z krową.

Niebo chmury przeżuje,
uspokoi się woda
i wybiegnę na łany
rozjaśnione pogodą
zbierać mannę dla mamy.

Powiedz, mamo, co tobie
przynieść z tych pól obeszłych,
z wiatru, śniegu i tęczy.
Cień twój kładzie się smugą
i już za mnie nie ręczy.
1978

EDWARD KOPCZYŃSKI

FASCYNACJA

Ze stacji kolejowej szliśmy szybko, tak jakby nas ktoś gonił. Grzegorz, przyjaciel po strzelbie i na co dzień, śmiał się ze mnie:

— Nie kłusuj tak, bo ludzie się za nami oglądają.

Ludzie się nie oglądali, droga do wsi była pusta, ale ani ja, ani Grzegorz kroku nie zwolniliśmy, bo przecież tylko raz w roku jest pierwszy dzień w sezonie polowania na kuropatwy...

W pół godziny byliśmy w znajomej chałupie, u Domagały, zaprzyjaźnionego z nami gospodarza. Jak zwykle serdeczne powitanie, parę zdań o tym i owym i najistotniejsze:

— Jak z kurami? Dobrze? Źle?

Domagała siedemdziesięciolatek, krzepki, trzymający się prosto jak dorodna sosna swoim zwyczajem rozłożył ręce.

— Kury? Ano są, czemu miałyby nie być, widzi mi się, że powinny być wcale dobre.

— Wyrośnięte?

— Wyrośnięte. Już jak stare. Rok był dobry.

Gawędząc wesoło z gospodarzem, pospiesznie szykowaliśmy się do wyjścia w pole. Pas z ładunkami, strzelba z futerału na pasek, zapasowe naboje do torby myśliwskiej, troki do pasa. Wychodziliśmy już, kiedy Grzegorz rzucił jeszcze:

— Chcemy dzisiaj zanocować i postrzelać jutro do południa. Nie ma przeszkód?

— Nie ma, izba myśliwska pusta.

— Zapraszamy w takim razie wieczorem do izby myśliwskiej — powiedziałem znając upodobanie Domagały do takiego nazywania drugiego pokoju w chałupie, który często odnajmowali myśliwi, członkowie naszego Koła. — Pogadamy sobie.

— Pogadamy i coś przetrącimy — dorzucił Grzegorz.

O dwunastej wyszliśmy za opłotki gospodarstwa. Było pochmurno, ale ciepło, a najważniejsze, że pole przed nami rozścielające się daleko i szeroko pełne było jeszcze wszelkich upraw: ziemniaków, buraków, poplonów. Pierwszy pas łętów ziemniaczanych mieliśmy o sto kroków, niosło nas do niego jak na skrzydłach. Ledwie podeszliśmy — niespodziewanie — z samego brzegu kartofliska, zerwało się duże stado kuropatw, ze dwadzieścia sztuk, z głośnym fruuu, fruuu, fruuu. Strzelaliśmy obaj z obu luf, ale trofeum nie zatroczyliśmy.

— Pierwsze śliwki robaczywki — pocieszyłem Grzegorza.

— Za szybko chodzimy — zauważył.

— Chodźmy więc wolniej...

Na kwaterę wróciliśmy o zmierzchu, zmęczeni, zmoknięci, bo gdzieś o trzeciej zaczęło siąpić, ale byliśmy szczęśliwi — ten pierwszy dzień udał się nam, rzemienie troków były zapełnione zdobyczą.

W izbie był ktoś nowy. Dziewczyna. Spojrzałem raz, drugi raz i zatkało mnie. Dziewczyna miała twarz tak piękną, że aż przymknąłem oczy, czując że moje serce zaczyna bić gwałtownie. Uczucie, jakiego doznałem było tak zaskakujące, tak dziwne, że nie bardzo wiedziałem, co się ze mną dzieje. Dziewczyna siedząca na stołku, na żydlu, mogła mieć lat osiemnaście, dwadzieścia, ubrana była po miejsku i — tak mi się wydawało — zdawała się być również zaskoczona moim widokiem. Nasz gospodarz przedstawił ją:

— Córka brata, mieszkają teraz w mieście, studiuje. No, co tam studiujesz?

— Chemię na uniwerku — dziewczyna podniosła się witając się z Grzegorzem, potem ze mną.

— Cholera — zakląłem w duchu, liczyłem bowiem jeszcze na to, że kiedy dziewczyna się podniesie, wyjdą na jaw jakieś jej niedostatki — może mała, może krzywa, może kulawa. Gdzie tam, była jak łania, jak Diana, pogini łowów. Zatkało mnie z wrażenia raz jeszcze, chociaż — do diabła — przy swojej trzydziestce patrzyłem już na niejedną piękność nie gorszą od tej.

— Krycha, zrób panom herbaty, ciotka poszła do sąsiadów i chyba nieprędko wróci.

A więc Krycha, Krystyna, studentka z mojego miasta. Niech ją bąk strzeli, udała się matce, ojcu. Do diabła, jak się porusza, ile w niej wdzięku, gracji i chyba doskonale wie o swoim uroku... Jest jak kotka, miękka, gładka, puszysta, co za włosy, te włosy to majątek.

Na chwilę, na długą chwilę straciłem cały kontenans. Czułem, że dzieje się ze mną coś niezwykłego, nie potrafiłem tego sprecyzować ani określić, wiedziałem tylko, że od pierwszego spojrzenia byłem pod urokiem tej dziewczyny, byłem nią zauroczony, zafascynowany, to była niewątpliwa prawda, ale dlaczego — przy całej jej urodzie — dlaczego aż tak bardzo, dlaczego aż tak dojmująco, do szpiku kości, czyżbym zgłupiał zupełnie? W chwilę później doznałem olśnienia lub czegoś bardzo podobnego do tego stanu. W tej izbie zdarzyło się coś, co zdarza się czasem raz na całe życie. Wydawało mi się, że dziewczyna i ja od dawna czekaliśmy na siebie, że to nasze spotkanie zostało zapisane w gwiazdach, w księdze przeznaczenia, w nieskończonej galaktyce, diabli wiedzą zresztą gdzie i to jest w gruncie rzeczy nieważne, bo znaczenie ma tylko sam fakt spełnienia się, tego spełnienia się, które ma miejsce dzisiaj, o tej godzinie, w tej chwili, w tej chłopskiej izbie, czystej, z bielonymi ścianami, ale dotąd przecież biednej. Biednej dotąd, bo w tej chwili ta izba jest dla mnie najwspanialszą komnatą, a zwykłe przedmioty, które tu stoją, połyskują kolorami tęczy, chociaż oświetla je zwykła naftowa lampa z oszczędnie przykręconym knotem. Dziewczyna krzątająca się przy piecu, szykująca dla nas herbatę w kącie izby, wpół oświetlona wydawała mi się księżniczką z bajki, która raczyła zwrócić na mnie uwagę, bo — do diabła, nie mogę się mylić — jej oczy, matowe, wielkie, z tamtego kąta zerkały wciąż na mnie — ciekawe, chyba zdumione, ale w jakiś sposób śmiałe, odważne...

Wracałem do siebie, tak jak bym wracał z dalekiej wyprawy, przytomniałem, chociaż krew wciąż pulsowała w skroniach. Z przerażającą jasnością dostrzegłem, że to wszystko co przeżywam, co w tej chwili dzieje się w tej izbie między mną a dziewczyną, jest zwariowane, postawione na głowie, nieprzytomne, szalone i... obezwładniające.

Dziewczyna przyniosła herbatę, postawiła ją na stole przede mną i Grzegorzem, a sama ulokowała się tak jak przedtem na stołku, obejmując kolana rękoma. Widziałem jej palce długie, szczupłe, bez żadnej ozdoby. Machinalnie podniosłem szklankę i sparzyłem wargi. Dostrzegła to i uśmiechnęła się — do diabła — ten uśmiech pędzi krew jeszcze szybciej, tak że ją prawie słyszę i czuję, jak wypełnia naczynia, jak sobie toruje drogę.

Moje zagubienie się, moje oszołomienie mijało, jak błądzący we mgle dostrzegłem prześwit wolnej drogi, otwartej przestrzeni — jednocześnie z tym odczuciem mój umysł zaczął działać sprawnie, jasno, metodycznie w jednym określonym szaleńczym celu. Pożerałem dziewczynę oczami, strzelałem dowcipami, jednym słowem zacząłem tokować jak głuszec, grający zapamiętale swą pieśń na pierwszych godach miłosnych. Byłem bezczelny, i zdawałem sobie z tego sprawę, nie zwracałem bowiem przy tym wszystkim najmniejszej uwagi na gospodarza, który przecież z racji, że dziewczyna była jego bratanicą, mógł mieć zasadnicze obiekcje. Grzegorz, który rozsiadł się teraz w pobliżu nagrzanego pieca, patrzył na mnie zdziwiony i — tak mi się wydawało — jakby z podziwem. To wrażenie jeszcze mnie podnieciło, zacząłem rozmawiać już tylko z dziewczyną, jak byśmy w tej białej izbie byli sami. Rozmawiałem? Snułem monolog, bo dziewczyna, poza tym że jej oczy pałały jakimś wewnętrznym ogniem i wciąż były wpatrzone we mnie, odzywała się rzadko. W monologu, jaki snułem, mówiłem o przeżyciach z polowania, o pogodzie, o życiu, o swoich studiach, o pracy, a więc o wszystkim i niczym z tym tylko, że w tym swoim mówieniu byłem jak primabalerina, jak zręczny żongler, jak doskonały sztukmistrz — coś takiego udaje się chyba raz w życiu — słuchający mnie co chwila kwitowali moje „odkrycia" głośnym uznaniem, ale na tym przecież mi nie zależało, chciałem uznania tylko od dziewczyny, w jej oczach chciałem widzieć wciąż ten cholerny uśmiech, chciałem tylko jej aprobaty, chciałem wreszcie, żeby odkryła, żeby zrozumiała, że wszystko, o czym plotę na pozór bez ładu i składu, jest tylko dla niej, wyłącznie dla niej, po to, wyłącznie po to, aby jej przekazać swoje oczarowanie, ten stan jaki przeżyłem niedawno, po to wreszcie, by jej przesłać miłosne wezwanie tak mocno, tak przekonywająco, tak prawdziwie, taż zniewalająco, aby jej nawet przez myśl nie przeszło na to wezwanie nie odpowiedzieć.

Grzegorz podniósł się i powiedział do gospodarza:

— Chodźmy do izby myśliwskiej, zapraszam pana na poczęstunek — spojrzał na mnie i na dziewczynę. — Mój przyjaciel i pana bratanica nie mogą się nagadać.

Domagała wstał niezwłocznie, ale wstała również dziewczyna.

— Ja już pójdę, stryju. Czas na mnie.

Zawirowało mi w oczach, a w piersi uczułem ból, tak jakby moje serce ktoś wziął w rękę i zacisnął ją na nim kurczowo. Dlaczego odchodzi, dokąd, po co, z jakiej racji, jakim prawem? Czyżby niczego nie zrozumiała? Czyżby to wszystko, o czym mówiłem nie dotarło do niej, czyżby była tak tępa? Czyż nie mówiłem dostatecznie jasno, otwarcie, czy w moich słowach nie było siły przekonania, najoczywistszych dowodów, że mówiłem prawdę, tylko prawdę, czy mówiłem za mało, żeby ją przekonać, zdobyć dla siebie na dziś, na jutro, na zawsze...

— Jest późno, dokąd pani pójdzie? — prawie krzyknąłem.

— Jest u ciotki, kilometr stąd, a zna tu każdy kąt — roześmiał się gospodarz.

— Tu się urodziłam, tu chodziłam do szkoły — dodała dziewczyna.

Do diabła, jacy oni głupi, i Domagała, i dziewczyna, wariat ze mnie, oszalałem zupełnie, jest to przecież naturalne, że dziewczyna w pewnej chwili odejdzie, wpadła do stryja, odwiedziła go i pójdzie tam, gdzie nocuje, pójdzie do tej swojej ciotki, jeżeli jest tu coś nienormalnego, nienaturalnego, to tylko to, co sobie wyobraziłem, to czego tu doznałem, to o czym marzę...

— Odprowadzę panią — wstałem szybko i na flanelową koszulę założyłem kurtkę.

Dziewczyna nie powiedziała ani tak ani nie, jej stryj nie miał nic przeciw temu, Grzegorz tylko odezwał się niepotrzebnie i zupełnie głupio:

— Wciąż jeszcze siąpi, włóż coś na głowę.

Wyszliśmy z izby do przedsionka, z przedsionka na dwór. Mżyło i było bardzo ciemno. Dziewczyna podniosła do góry kołnierz płaszcza i ścieżką poszła do wiejskiej drogi. Szła przede mną, ścieżka była wąska. Na drodze wziąłem ją pod rękę.

— Nie trzeba — powiedziała cicho.

Odwróciłem ją do siebie, objąłem, odszukałem usta i całowałem ją tak spokojnie, tak cicho jak człowiek spieczony słońcem wypija pierwszy łyk wody. Nie broniła się, poddawała się mojej woli, a moje wzruszenie podpowiedziało mi, że i ona na ten pocałunek czekała. Kiedy brakło mi tchu, puściłem ją i mówiłem szybko, gorączkowo:

— Krystyno, Krysiu, nie wiem, co się ze mną dzieje, wiem na pewno, że oszalałem, ale wiem również, że jest mi tak dobrze jak nigdy, chciałbym, żeby ten wieczór nigdy się nie skończył, chciałbym, żeby droga do domu twej ciotki była bez końca, chciałbym zawsze być z tobą... Krysiu, musimy się spotkać, zaraz jutro musimy się spotkać, chcę ci tyle powiedzieć.

— Pan ma żonę, ma pan obrączkę na palcu.

Nie chciałem słyszeć jej obrony, w tamtej chwili jej słowa nie miały żadnego znaczenia.

— Przyjdziesz, musisz przyjść, ani dla ciebie ani dla mnie nie ma ucieczki, nie ma innego wyjścia, znasz tę wieś, wiesz gdzie są stawy, gdzie jest młyn, zaraz obok jest lasek, znasz go — zacisnąłem kurczowo ręce na jej dłoniach.

— Znam.

— Przyjdziesz o dziesiątej. Milczenie.

— Musisz przyjść, to przeznaczenie.

— Będzie padać.

— Nie będzie padać, jutro będzie słońce, dużo słońca, musi być słońce. Przyjdziesz?

— Przyjdę...

Było słońce, dużo słońca, tak jak pragnąłem, tak jak zapewniałem Krystynę i ten fakt napawał mnie otuchą, kazał marzyć dalej. Chodziłem po lasku odurzony, rozdygotany, patrzyłem na wiejskie zabudowania z odległości kilometra, bo przecież tam właśnie, za chwilę, za minutę, za parę minut — ukaże się sylwetka Krystyny, idącej na spotkanie ze mną, na spotkanie, które wyznaczył los... Krystyna nie przyszła.

Później, słońce było już wysoko w górze, w towarzystwie Domagały jako pomocnika polowałem na kury. Nie było już we mnie radości. W pewnej chwili Domagała, trzymając w jednym ręku troki z kuropatwami, drugą pokazał mi dom ciotki, u której gościła jego bratanica. Patrzyłem na ten dom długo, ale jego progu nie przekroczyłem, marzyłem przecież wczoraj w białej izbie z naftową lampą, potem w ciemnościach na wiejskiej drodze, a dzisiaj był dzień jasny, rozsłoneczniony, przeraźliwie jasny, aż oczy bolały od patrzenia. Dziwne, ale wydaje mi się, że Krystyna, gdziekolwiek dzisiaj jest, pamięta tamten wieczór, równie dobrze jak ja, i jest mi wdzięczna za to, że jej nie szukałem, że uszanowałem jej wolę... Patrzę na dom ciotki każdego roku od wielu lat, przez wiele sezonów łowieckich, ale o Krystynę nawet nie pytam. Po co? Nic piękniejszego już mnie przecież nie spotka.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

Zbliża się dwudziesta piąta rocznica śmierci **Juliana Tuwima** i jest to już nie okazja, ale konieczność wznowienia dzieł poety. Na tę rocznicę zdążył jak dotąd tylko **Tadeusz Januszewski** z edycją listów Tuwima do przyjaciół — pisarzy.

Czytaliśmy w swoim czasie niezwykle interesujące listy do siostry, czytaliśmy — wydane przed laty — bloki korespondencji do Staffa i Gałczyńskiego... Korespondencja Tuwima, to nie tylko, jakiś tam przyczynek do określenia sylwetki twórczej — to, po pierwsze, sama twórczość, a po drugie — chyba najbardziej wiarygodny obraz osobowości i sylwetki pisarza. Z pewnością daleko bardziej wiarygodny niż laurkowe, wspominkowe relacje przyjaciół i znajomych z tomu wspomnień wydanego krótko po śmierci.

Tadeusz Januszewski przygotowuje następne tomy listów **Juliana Tuwima.** Dla nas może najbardziej interesujący będzie tom **„Listy do łodzian".** Wiadomo, że poeta miał wiele sentymentu do swego rodzinnego miasta — a w każdym razie bardzo ten sentyment demonstrował. Ponieważ jednak dość rzadko to miasto odwiedzał — pozostał interesujący ślad w jego korespondencji.

W wydanym obecnie tomie listów jest jednak blok listów do pisarzy łódzkich. Zachowała się więc korespondencja do **Mariana Piechala, Leona Gomolickiego i Jana Sztaudyngera.** Są w tych listach wyraźne ślady fascynacji i zainteresowań poety — są odległe echa literackich przyjaźni, są wreszcie dowody jego życzliwości dla młodych wówczas poetów, którym niejednokrotnie ułatwiał start na warszawskim rynku wydawniczym.

Dotychczas udało się zebrać około 700 listów **Juliana Tuwima.** Według oceny **Tadeusza Januszewskiego** jest to mniej więcej połowa całej spuścizny epistolarnej poety. Za wcześnie więc na chronologiczny układ listów. Nie chcąc zatem odkładać publikacji na lat co najmniej kilkanaście — zdecydowano się na ogłaszanie, w miarę gromadzenia, tomów z których każdy stanowić będzie osobną całość — odpowiednio zakomponowaną i z jakąś dominantą tematyczną.

LISTY JULIANA TUWIMA

Taki też układ ma tom **„Listy Tuwima do przyjaciół — pisarzy".** Księga nie obejmuje oczywiście, ani wszystkich przyjaciół, ani wszystkich pisarzy, z którymi utrzymywał kontakt. Nie obejmuje nawet listów do wszystkich przyjaciół-pisarzy, bowiem nie wszystkie zbiory są jeszcze dostępne.

Niemniej jednak uprawomocniony jest ten właśnie tytuł — wskazuje on po prostu kierunek penetracji wydawcy listów **Tadeusza Januszewskiego.** Księga listów Tuwima ukazuje nie tylko stosunki łączące poetę z innymi pisarzami. Ukazuje — bardzo wyraziście i bardzo wiarygodnie — jego osobowość.

Na księdze tej zaciążyła rzecz prosta, nasza tragiczna, polska historia. Okres międzywojenny — najdłuższy w biografii poety i najobfitszy w dokonania — znany jest właśnie najmniej. Wojna wymazała, spopieliła także epistolarne ślady.

Niewiele mamy dziś przedwojennych listów Tuwima — w tomie widać to wyraźnie. Na przykład pierwszy list do **Antoniego Słonimskiego** pochodzi z roku 1940, choć przyjaźń poetów datuje się od roku 1918. Niestety — wojna obeszła się okrutnie także z korespondencją Tuwima.

Prezentowany tom listów poety jest jednocześnie zapowiedzią dalszych bloków korespondencji. Największym znanym zespołem jest 170 listów do **Ireny Tuwim,** siostry pisarza, oraz — bliżej nie znany, ale z całą pewnością zachowany, blok listów do żony Stefanii. Przyjdzie niebawem czas, aby i te — podobno niezwykle interesujące — listy poszerzyły naszą wiedzę o sylwetce i osobowości poety.

Na razie otrzymaliśmy pierwszą księgę listów — dokumentalną opowieść o przyjaźniach, animozjach, zainteresowaniach i codziennych kłopotach pisarza.

Dopiero z tych listów wynika, że ten pełen witalności i energii człowiek, był niezwykle schorowany — nękany ciągłymi atakami i operacjami.

Księga korespondencji Tuwima jest także opowieścią o czasach, w których owe listy powstały, jest to też opowieść o ludziach, do których poeta swoje listy kierował... Wnikliwa lektura tej księgi jest zajęciem pasjonującym — więcej można się z niej dowiedzieć, niż to pozornie zapowiada.

WIDOK

Z GALERKI

MARIAN JAESCHKE

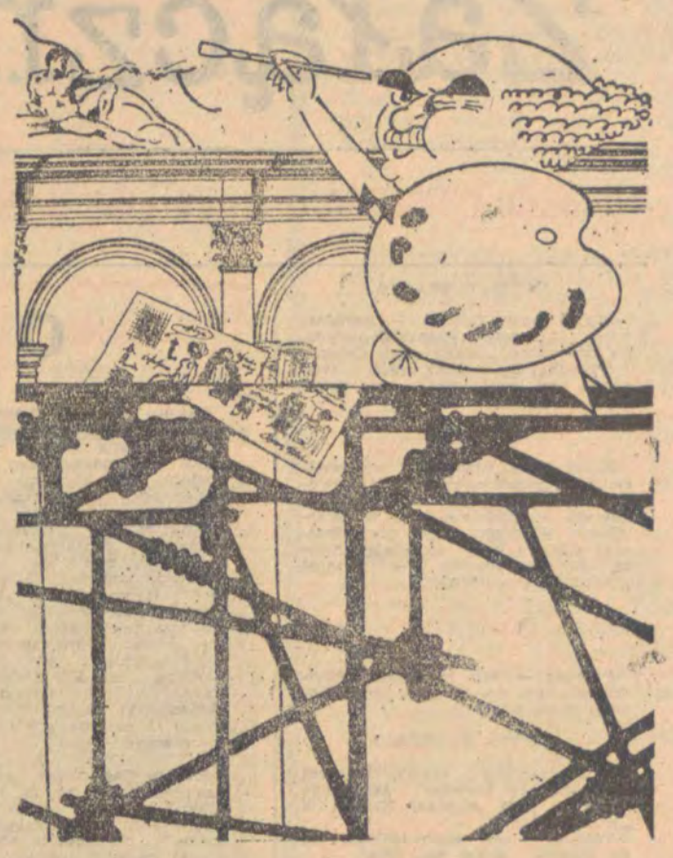

„Niech Leonardo i Michał Anioł powiedzą,
Oni o mnie, co ja wiem o sobie — wiedzą".

Rys: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

PROPOZYCJE

Starożytni Rzymianie przestrzegali, aby nie dyskutować o gustach, ale ludzie tego nie biorą pod uwagę i nadal dyskutują. Różne są to dyskusje. Bo o gustach można dyskutować nieskończenie i zupełnie nieskutecznie. Nic z tych dyskusji nie wynika, bo jednemu podoba się matka, a innemu córka, a jeszcze innemu sąsiadka i nie ma na to rady.

Ostatnio toczyła się z wolna na łamach naszej prasy dyskusja o niejakim Banaczku, co miał być Polakiem, choć miał czeskie nazwisko. Nie należy się temu dziwić, gdyż ludzie obyci w świecie zawsze wyrażają zadowolenie, jeśli ich rozmówcy w dalekich i bardzo odległych krajach wyjawią, iż wiedzą, że Polska leży w Europie i w Warszawie po ulicy nie biegają białe niedźwiedzie. Nasza znajomość geografii świata też czasem ogranicza się do tego, iż wiemy na jakim kontynencie dane państwo leży, lub z jakiego morza czy oceanu jakaś wyspa się wynurza, ale z dokładną lokalizacją tego państwa czy wyspy mielibyśmy spore kłopoty. Tak więc fakt, że Polak nosi czeskie nazwisko nic jeszcze nie znaczy, jak również i to, że jego polskie przysłowia tyle mają wspólnego z naszymi przysłowiami, co słoń z baletem.

Ogólnie rzecz biorąc Banaczek się nie podobał. Oczywiście nie wszystkim. Dlaczego się Banaczek nie podobał? Oto jest pytanie.

Po pierwsze — jednak Banaczek nie wszystkim się nie podobał. Na przykład „Teleskryba" z „Ekranu" był zachwycony. **„Detektyw Banaczek — pisał „Teleskryba" — jest arystokratą swego zawodu; nie interesują go sprawy drobne — on bierze tylko takie, które dla innych okazały się zbyt trudne. I bierze za ich rozwiązanie grubę pieniądze: setki tysięcy dolarów. A więc w amerykańskim systemie wartości jest naprawdę Kimś!".** Nie tylko w amerykańskim systemie wartości, nie tylko. U nas też się wielu zachwyciło Banaczkiem, bo „ten to ma forsy". Ale ogólnie Banaczek się nie podobał.

Nie podobał się Banaczek Grzegorzowi Gaździe, czemu dał wyraz na łamach „Odgłosów", nie podobał się też Jerzemu Urbanowi, czemu dał wyraz na łamach „Szpilek". Dlaczego Banaczek się nie podoba?

Charakterystyczne jest to, że większość zwraca uwagę nie na serial, na jego budowę, na pomysły reżysera i ich realizację, na pomysły scenarzysty i na ich realizację, bo cały obraz przesłania im fakt, że główny bohater jest Polakiem.

No bo tak. Jest na przykład taki amerykański serial pt. „Kojak", a jest to serial o jednym takim amerykańskim Greku lub o greckim Amerykaninie i jest to fajny serial, bo ten Grek z Ameryki to bardzo mądry porucznik, taki ludzki, doświadczony, uparty i zawsze wyjdzie na swoje. I na dodatek tego amerykańskiego Greka gra prawdziwy Grek. To się nam podoba. Tylko nie wiadomo, czy to się podoba Grekom z prawdziwej Grecji. Ale mniejsza o Greków.

Jest taki drugi serial też zresztą amerykański pt. „Colombo", a jest to serial o jednym takim amerykańskim Włochu, albo o włoskim Amerykaninie i zupełnie przypadkowo jest on też porucznikiem policji i jest to również cholernie mądry facet. Jak się przyczepi do przestępcy, to

CZYJ CZŁOWIEK?

jak rzep do psiego ogona i zawsze z tego przestępcy wyciągnie prawdę. Nie ma żadnego cwaniaka dla Colombo, on wszystkich rozgryzie. Jerzy Urban na przykład ogląda **„pasjami serial o tym brudnym makaroniarzu „Colombo",** a mnie już to nudzi, bo odcinek do odcinka bliźniaczo podobny i wiadomo, że zaraz Colombo się wróci i zaraz znajdzie to, co trzeba znaleźć.

Zupełnie nie wiem, czy Włochom z prawdziwych Włoch podoba się „ten brudny makaroniarz Colombo". Ale mniejsza o Włochów. Banaczek niestety nie dorównuje ani Grekowi Kojakowi, ani Włochowi Colombo. I to jest fatalne.

A może by tak spojrzeć na całą tę sprawę od właściwego końca. Po prostu dostrzec, że serial o Banaczku jest spartolony. A w złym serialu nawet najgenialniejszy detektyw **wyjdzie zawsze na idiotę.** Myśmy zresztą też niedawno puścili (dosłownie i w przenośni) serial o jednym takim genialnym Polaku, rodzimego zupełnie chowu, który wyszedł kompletnie na trzech idiotów razem wziętych i to mimo tego, że był Polakiem.

Jeśli bohater filmu kryminalnego musi wyjaśniać widzom, na czym polegała zagadka, którą rozwiązał, jeśli nie wynika to z samej akcji, to jest to film kryminalny spartolony od początku do końca. I winę za to ponoszą scenarzysta i reżyser. I to niezależnie od kraju, w którym ten serial powstaje. I niezależnie od tego, kto jest bohaterem.

Pasjami lubimy przedstawiać świat w różowym kolorze i w sposób jednoznaczny. W każdej relacji naszego specjalnego wysłannika do obcych krajów, który zetknie się z tamtejszą Polonią, pełno jest zachwytów nad tym, jacy to Polacy są znakomici za granicą, jacy cenieni, chwaleni, wynoszeni pod niebiosa. Takie relacje bardzo poprawiają nasze samopoczucie. A później nagle się okazuje, że są też „polish jokes" i podejrzany Banaczek, który się nie wstydzi swego polskiego pochodzenia oraz czeskiego nazwiska. Może po prostu świat jest bardziej złożony niż nam się to wydaje, widząc go wymalowanym na różowo.

Czasem dobrze jest pomyśleć. Na przykład o tym, jaka też była ta pierwotna emigracja do obu Ameryk. Przecież byli to w większości ciemni, niepiśmienni chłopi z biednej Małopolski i innych części kraju. Marian Walentynowicz w swoich wspomnieniach „Woja bez patosu" opisuje refleksje wywołane wizytą w Kanadzie w okresie wojny. Pojechał tam wraz z delegacją wojskową. Był w Windsor. Wizyta tej delegacji zmieniła wyobrażenie niektórych Kanadyjczyków o Polakach.

„...Kadyjczycy bardzo się dziwili — pisze M. Walentynowicz — **i nie mogli zrozumieć, jak to jest, że podajemy się za Polaków, a wszyscy umiemy czytać i pisać, część z nas zna, lepiej lub gorzej, język angielski, umiemy rozmawiać, tańczyć, i to nie tańce narodowe... gramy w tenisa i brydża, codziennie golimy się i mamy oszyszczone buty. Często pytano nas wręcz, czy na pewno jesteśmy prawdziwymi Polakami."**

Przez dziesiątki lat stara, zarobkowa emigracja kształtowała pojęcie o Polakach na amerykańskim kontynencie, choć bywali tam w tym czasie i bardzo światli przedstawiciele naszego narodu. Nowa emigracja, wojenna i powojenna z trudem i mozołem zmienia to pojęcie, ale nie jest to ani takie proste, ani takie łatwe. I myśle, że dla naszego dobrego samopoczucia warto o tym pamiętać.

MARCIN RODAK

ZAMIAST FELIETONU

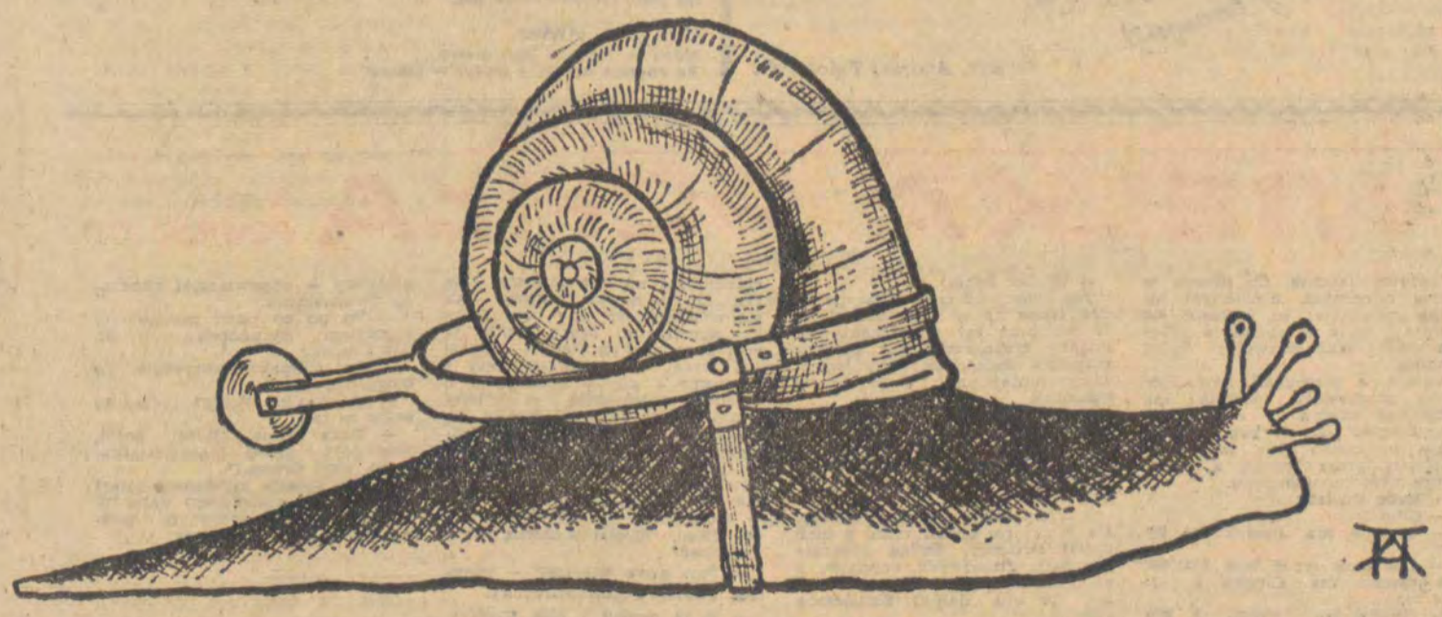

Rys. Andrzej Adamowicz

SPORT

SZKODLIWY BLASK GWIAZD

Mecze lekkoatletyczne mają swoisty urok. Stadion jest wtedy pełen ludzi w różnokolorowych strojach. Z pozornego bałaganu, jaki dzieje się na stadionie można wyławiać interesujące nas fragmenty akcji i wtedy całość nabiera innego sensu. Nawet oglądanie meczu lekkoatletycznego w telewizji nie odbiera tego uroku. Wprawdzie wtedy kamera dokonuje za nas wyboru z wielowątkowej akcji jaka się odbywa na płycie stadionu, ale pokazuje ją w zbliżeniu. Wcale więc nie żałuję, że lekkoatletycznych mistrzostw Europy nie mogłam oglądać bezpośrednio, że mogłam oglądać je na telewizyjnym ekranie. Nie ma czego żałować. Nasi zawodnicy nie wypadli bowiem najlepiej.

Przyjemnie jest nam kibicom, kiedy nasi reprezentanci zwyciężają. Ale każdy rozsądny kibic ma tę świadomość, że nie można nieustannie wymagać od zawodników samych zwycięstw. Zawodnik może nie trafić z formą na określony czas, chociaż powinien, może mieć gorszy dzień, wreszcie przeciwnicy też chcą zwyciężyć i robią wszystko, aby takie zwycięstwo osiągnąć. Trudno więc wymagać, aby na przykład Władysław Kozakiewicz zawsze najlepiej skakał o tyczce. Trudno też wymagać, aby Irena Szewińska ciągle przybiegała pierwsza na 100 metrów, na 200 i na 400 metrów. W końcu rosną młodsze biegaczki i siłą rzeczy muszą być szybsze. Takie jest nieubłagane prawo życia.

Nie mam zamiaru nikomu odmawiać prawa do startu na międzynarodowych zawodach, ani reprezentowania naszych barw w różnych mistrzostwskich spotkaniach, tym bardziej, że barwy te reprezentują na ogół zawodnicy zasłużeni, którzy niejeden mistrzowski tytuł zanotowali na swym koncie. Ale mogę niepokoić się, kiedy mistrzom nie idzie, a zza ich pleców nie wyglądają następcy.

Gwiazdy w sporcie są potrzebne. Ale gwiazdy w sporcie powinny nie tylko spełniać rolę zdobywców tytułów, pucharów i nagród. Powinny też być przykładem dla młodych. To powinno być mniej więcej tak, jak u dzieci, kiedy bawią się w piłkę nożną. Rozdzielają wtedy role. Kiedyś mawiali: — ja będę Lato, ty Szarmach, a on Lubański. Nie wiem, czy dziś ktoś bawi się w Bońka, choć Zbigniew Boniek jest bez wątpienia znakomitym piłkarzem. Kiedy w drużynie Widzewa zabraknie Bońka gra natychmiast kuleje.

Pamiętam jeszcze ten czas, kiedy w reprezentacji Polski grał Włodzimierz Lubański i cała drużyna grała na Lubańskiego. Kiedy zabrakło Włodzimierza Lubańskiego zapanowała niemal żałoba narodowa, ale okazało się, że jego absencja umożliwiła rozwinięcie i pokazanie umiejętności Andrzejowi Szarmachowi i Grzegorzowi Lato. Dawne to czasy. Tylko po nich znów mamy okres pustki w narodowym zespole. Nowe gwiazdy dopiero rosną. Oby było ich jak najwięcej.

Nie mam zamiaru winić gwiazd za to, że posiadają talent i zdobywają dla nas zaszczyty. Cześć im za to i sława! Ale mogę mieć wcale nie ciche pretensje do działaczy sportowych, do trenerów, że nie potrafią wykorzystać blasku sportowych gwiazd dla wychowywania ich następców. Przykro mi było patrzeć, jak Irena Szewińska odstawała od czołówki europejskich biegaczek, ale jest mi jeszcze bardziej przykro, gdy za Ireną Szewińską widzę długą pustą bieżnię, na której nie ma jej następczyni. Czyżby rzeczywiście wśród tysięcy polskich dziewcząt nie było takiej która mogłaby przejąć pałeczkę od Pani Ireny? Czyżby trenerom i działaczom wydawało się, że Pani Irena będzie biegała wiecznie? Jest ona w sporcie niewątpliwym fenomenem. Nie wolno o tym zapominać. Ale nie wolno też było zapominać, że nadejdzie czas, kiedy Pani Irena spóźni się na metę. I ten czas już nadszedł.

Wszyscy patrzą już na Moskwę, gdzie znów spotkają się najlepsi lekkoatleci z całego świata. My też patrzymy na Moskwę, ale patrzymy z troską, jak tam wypadnie nasza reprezentacja. Zakończona niedawno w Moskwie Spartakiada Narodów ZSRR pokazała, że Związek Radziecki szykuje silną ekipę i trudno będzie z tą ekipą rywalizować. A inni też przez ten czas nie będą zasypiać gruszek w popiele. Do olimpiady niby jeszcze rok czasu, ale to się tylko zdaje, że to jest dużo. To jest bardzo mało. Mało, jeśli nie posiada się rezerw, jeśli uległo się szkodliwemu blaskowi gwiazd, sądząc, że gwiazdy żyją i zwyciężają wiecznie. Nawet w kosmosie gwiazdy umierają, a co dopiero w sporcie.

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: al. A. Mickiewicza 11, kod poczt. 90-438. Telefony: 652-44 sekretariat i red. naczelny 680-99, 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 1846. A-2.

Załącznik nr. 38(-)179 1 .....

HASŁO NUMERU: Pamiętaj o Klaudiuszu! Nie jedz olszówek!

MOTYLEM JESTEM

Rys. Jan Zieliński

NIECH ZOSTANIE

„Drań nach Osten" — parafrazuje „Karuzela" ekspansjonistyczne zawołanie „Drang nach Osten". *Wolelibyśmy jednak, żeby drań został tam, gdzie jest, a nie pchał się na Wschód.*

JAK DZIECI...

Karol T. z Brzezin, z wykształceniem podstawowym, bez zawodu został czymś w rodzaju księgowego w Oddziale TPD w Brzezinach. W ciągu 5 lat przywłaszczył sobie z kasy, okradając dzieci, 500 tys. złotych — donosi „Dziennik Popularny".

To i tamto

Pytanie — czy to dzieci przynosiły go do pracy i kontrolowały przez 5 lat?

ILE NA KWINTAL?

— Ile metrów taśmy filmowej przypada na kwintal zebranego zboża — pyta Andrzej Krauze w „Kulturze".

Telewizja nie odpowiedziała na to pytanie. Kręci się dalej.

SZEJK CZY SZEWC?

Giełdy odnotowały gwałtowną podwyżkę cen w warsztacie szewskim przy ul. Tuwima 65, 31 lipca br., o godz. 16,00 szewc zażądał za reperację 80 zł; kiedy klientka się zdziwiła, szewc o godz. 16,01 podniósł swe żądania do 110 zł; o godz. 17,03 ta sama usługa kosztowała 150 zł. Ponieważ usługobiorczyni zadawała pytania, szewc wpadł w pasję szewską. Donosi o tym wszystkim „Głos Robotniczy".

Przykład szejków arabskich podziałał na szewców polskich.

COŚ NOWEGO

Rozwiązanie rozkoszy nr 126 — donosi „Dziennik Popularny".

No, no. Czegoś takiego nie ma nawet u dr Wistockiej.

OGRÓD

Ogrody bywają piękne i czasem przychodzi człowiekowi chętka posiadania takiego ogrodu. A skoro nie można tego marzenia spełnić, to chciałby przynajmniej pójść do jakiegoś ogrodu, byle jakiego, ale ładnego, gdzie można muzyki posłuchać, gdzie szumiałaby fontanna, gdzie można byłoby napić się „Shandy" (nowość, smaczna) albo „Pepsi-coli". Renata Sas w „Dzienniku Popularnym" twierdzi, że w Łodzi jest taki ogród. Podaje nawet adres: Piotrkowska 262/264, za Pałacykiem, tam, gdzie swą siedzibę ma ZŁ ZSMP i RŁ FSZMP. Tylko ten ogród jest zaniedbany, zapuszczony, zarośnięty. I nie ma kto się o niego zatroszczyć.

Renata Sas pisze: „trudno sądzić, że gdyby to od organizacji młodzieżowych zależało, czyż mielibyśmy przed oczyma to co mamy?". To znaczy obraz ogrodowej nędzy i rozpaczy. „O inicjatywach młodych słyszymy, piszemy, chwalimy, podziwiamy, więc z pewnością, gdyby mogli, to zdobywając laury na polu troski o innych pomyśleliby również o sobie". Renata Sas jest w swoich sądach miła i uprzejma. I dlatego muszę ją rozczarować.

Młodzieży na urządzeniu ogrodu przy „Pałacyku" zupełnie nie zależy, jej to nie interesuje. Dawniej różne imprezy organizował w tym ogrodzie m.in. „Głos Robotniczy". Pamiętam też, że kiedyś mieliśmy tam robić czyn społeczny, czyli porządkować ów ogród, tylko łopat zabrakło. Nie dowieźli. A młodzież wisiała w oknach i patrzyła na tych, co czekali na łopaty. Było to chyba trzy, albo i cztery lata temu. Minęło sporo czasu, aby się własnym ogrodem zainteresować. Nic z tego. Trudno. Trzeba będzie zatem za nich pomyśleć i zrobić. Niestety!

Zyg. Zyg.

Rys. Andrzej Adamowicz

WĘZŁY STYLISTYCZNE

„Nowy sposób rozwiązania węzłów wymiennikowych w budynkach mieszkalnych opracowali łódzcy inżynierowie" — donosi „Express Ilustrowany".

Dzięki „Expressowi" wiemy wreszcie, dlaczego cieknią kaloryfery (bo to o nie chodzi). Czy nie można by znaleźć sposobu na zawiązanie węzłów

Od dłuższego czasu już wiadomo, że obie reprezentacje Polski w piłce nożnej i ta „pierwsza" i ta „olimpijska" mają kłopoty ze znalezieniem sparringpartnerów.

I oto PZPN znalazł sparringpartnera. Zaproszenie na mecz z zespołem olimpijskim przyjął belgijski klub Beerschot, w którym gra Jan Tomaszewski. Mecz wyznaczono na 19 sierpnia 1979 roku w Słupsku. Ale Belgowie zaoponowali. Przejazd z Warszawy do Słupska jest dla nich męczący. Zespół

Ze Sportu

KOGO TO INTERESUJE?

ma swoje plany i nie może zbytnio przemęczać piłkarzy długimi przejazdami. Chcą grać w pobliżu Warszawy.

PZPN zaproponował Łodzi organizację takiego spotkania. Okazało się, że dla Łodzi nie jest to mecz... atrakcyjny. Łódź marzy o organizacji międzynarodowego spotkania. Ostatnie spotkania piłkarzy ŁKS i Widzewa stoją już na tak wysokim poziomie, że łódzkich kibiców może zadowolić tylko oglądanie piłkarzy... Argentyny, Brazylii, Holandii...

W pobliżu Warszawy na szczęście jest jeszcze kilka stadionów. Może kogoś zainteresuje mecz naszej reprezentacji z belgijskimi piłkarzami. W Łodzi będziemy nadal zadowalali się partaniną jedenastki ŁKS.

ZYG. ZYG.

STARA GWARDIA

— ...bo ja te dziewczyny wymieniłem na młodsze — powiedział Janowi Pisieckiemu człowiek, który dodał również — ...nie ukrywam, ...przyszedłem na świat w 1901 roku.

Nie ma to jak stara gwardia. A do tej starej gwardii należy oczywiście Mieczysław Fogg. Ale proszę się nie gorszyć, „te dziewczyny" Mieczysław Fogg wymienił tylko w towarzyszącym mu zespole „Baby Jagi".

KIM JEST AKTOR?

Na to pytanie odpowiedź można znaleźć w wywiadzie, jakiego „Sztandarowi Młodych" udzielił Franciszek Trzeciak.

— Aktor — powiada Franciszek Trzeciak — to facet do wynajęcia. I większość reżyserów, dyrektorów teatrów manipuluje nim w sposób niegodny... Ludzie sugerują się plotkami — powiada dalej Franciszek Trzeciak. — Boją się ryzyka. Mało jest takich reżyserów, którzy biorą pod uwagę przydatność aktora do określonej roli. Zwykle o tym, że ktoś gra a inny nie, decydują układy towarzyskie, kawiarniane, rodzinne. I taki system obowiązuje często: w teatrze, filmie, telewizji...

Tytuł wywiadu: BĘDĘ BOKSOWAĆ. Oj, coś nam się zdaje, że chyba tak i to długo. Tym bardziej, że Franciszek Trzeciak sam przyznaje: — Jako aktor czekam na telefon, że ktoś zadzwoni i coś zaproponuje.

Widzieliśmy już, jak bokser został aktorem, to może też zobaczymy, jak aktor zostaje bokserem. Początek już został zrobiony w cytowanym wywiadzie. F. Trzeciak narozdawał sporo ciosów. Nokautu jeszcze nie było.

Z ŻYCIA SFER

TA ALEKSANDER

Renata Sas napisała w „Dzienniku Popularnym": „Starszy inspektor d.s. kultury w Urzędzie Dzielnicowym — Aleksander Kronic..."

Sprawdziliśmy, ten Kronic okazał się kobietą. W dodatku osobistą znajomą Renaty Sas. A wszystko przez emancypację. Kobitki jakoś na siłę chcą dorównać chłopom. Coraz powszechniej więc odrzucają wszelkie żeńskie formy. Żadna nie chce się przyznać, że jest Kronicowa, Sasowa, Sztokwiszowa, Czubaszkowa i tak dalej. No i potem z Aleksandry robi się Aleksander, dobrze, że tylko w gazecie.

Pisane specjalnie dla „ZAŁĄCZNIKA"

RICHARD D'AUREAUBAX

DO KORYNNY

Naucz mnie kochać namiętnie i tkliwie,
naucz twojego rytm serca przyspieszać,
pieścić wymownie i mówić pieściwie,
naucz obnażać i naucz pocieszać.

Spraw, by w noc każdą żądza w nas nie spała,
żeby jej nawet pierwszy świt nie płoszył,
zanim nie wniknę w głąb twojego ciała
ognistą lawą z wulkanów rozkoszy.

Niech w nas więc płonie namiętności lato
upalne, parne, bogate w niuanse!...
Ja już od dawno mam ochotę na to,
żeby spróbować z tobą alafranse...

Przekład: O. R. BRODA

Korespondencja „ZAŁĄCZNIKA"

PORADY NIEPRAWNE

Przedsiębiorstwo PKS II Oddział Osobowy w Łodzi przesłało pismo następującej treści:

Nawiązując do artykułu pt. „Porady nieprawne", który ukazał się w „Odgłosach" nr 22 z 3 czerwca 1979 r. uprzejmie informujemy, iż w wyniku przeprowadzonego postępowania wyjaśniającego nie stwierdzono aby opisany fakt. „pukania się w głowę" miał miejsce.

Informujemy także, że pracownikom dworca zwrócono uwagę na obowiązek niezwłocznego dokonywania zwrotu należności za nie wykorzystane bilety z powodu nieobsłużenia kursów nie tylko tego samego dnia, ale i w dniu następnym.

O ile jednak żądanie zwrotu należności następuje w terminie późniejszym, reklamacja winna być złożona do naszego przedsiębiorstwa na piśmie, zgodnie z przepisami Regulaminu zarobkowego przewozu osób i bagażu w osobowym transporcie drogowym (Dz. U. nr 56, poz 282 z r. 1962). Do reklamacji zawsze należy dołączyć nie wykorzystany bilet.

Wracając do sytuacji opisanej w „Odgłosach" stwierdzić należy, że kurs z godz. 17.30 faktycznie został odwołany przez dyżurnego ruchu Oddziału PKS w Tomaszowie Maz., powiadamiając o tym nasz dworzec dopiero o godz. 17.40.

Wobec tego, że w tym czasie nie mieliśmy w dyspozycji żadnego autobusu rezerwowego, nie byliśmy w stanie obsłużyć odwołanego przez Oddział PKS w Tomaszowie Maz. kursu.

OD „ZAŁĄCZNIKA": Dziękujemy za wyjaśnienie. Ale wolelibyśmy, aby autobusy kursowały zgodnie z rozkładem jazdy.

MIECZYSŁAW M. SZARGAN

ŁATKI ADRESATKI

NOWY PARK NA „DĄBROWIE"

Chwasty, osty—
Odpoczywaj człowieku prosty!

FORTEPIANY W DOMACH KULTURY

Oto umuzykalniania skutki.
Fortepiany zamknięte na kłódki.

NA PODRABIACZY WALDORFFOWEGO „ALIŚCI"

Felietoniści!
Pióra precz od „aliści"!

Rys. Andrzej Tylczyński

FELIKS RAJCZAK

FRASZKI

DWA ASPEKTY

Ty o przyszłość się niepokoisz,
On zasię teraźniejszość dol.

MÓWIĄCA MASKA

Mówi to jedna z jego masek,
Że chętnie by mnie złożył w piasek.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

WIELKA PCHŁA

MINI POWIEŚĆ O!?

ODCINEK 16

Tuż za rogiem pachniało rybami, do środka wchodzili tylko ludzie o mocnych nerwach. (— Kergulenol — zawołał hrabia. — Już idę, mój Błękitku...). Trochę dalej kwiaciarnia, więc zapach żaden. Kwiaty dawno przestały wykonywać dla ludności usługę pachnienia, przeszły na kształt, kolor i cenę. A za kwiaciarnią frytura z cebulką, czyli mleczny bar.

— Pani musi trzymać dietę oszczędzającą — powiedział sanatoryjny lekarz Celince. Nie złożyła podania o prolongatę żywienia zbiorowego we własnej firmie; firma dopłacała do obiadu, ale wybór żaden: grochówka z termosu i hamburger z surową kapustą. Co innego w barze mlecznym, ulubionym lokalu emerytów: tu kapustę się gotuje i to z grzybami, a polewa się ją lekkostrawnie: żywą słoniną.

Razem z pierogami pani Celinka przeżuwała jeszcze raz dzisiejszy telefon. — Pani magister Ciupek jest? — pytał dźwięczny, bo męski głos, lekko zagłuszany przez trąbkę z towarzyszeniem bombardonu.

— Może Puciek?

— Ciupek.

— To nie ma. Puciek to by był.

— Dla pani może być Puciek, ale pseudo ma Ciupek i już. Nie ma?

— Będzie jak wróci. A kto mówi?

— Wielka Pchła.

Tak powiedział: wielka pchła. Coś trzeszczy w tych pierogach. W telefonie też trzeszczało. Pomiędzy trzaskami pani Celinka usłyszała tylko, że plan wykonany niniejszym i że mamy Ramolkę.

— Co mamy? — próbowała uściślić.

— Koniec komunikatu. Wielka Pchła! — męski głos odwiesił słuchawkę, trąbka z bombardonem zostały same.

Cytryny miały być do herbaty, ale lepiej się opłaci robić z nich napój firmowy. Żadna kontrola nie bada firmowych napojów, a po hamburgerze klient chce pić. Co mu damy? Skwaszone mleko?

Musi się kwasić, bo w ladzie chłodniczej nie ma miejsca: tam się chłodzi napój firmowy. Tak się ochłodził, że gdy pani Celinka wróciła do biura, ćmiło ją pod koroną. Pan Puciek zaliczał już trzeci tom „Przeminęło z wiatrem" i gdyby ktoś pytał o dzielną urzędniczkę — byłoby komu odpowiedzieć: wyszła na chwilę z pokoju. Któż by jednak pytał, skoro kierownik o tej porze wychodzi na chwilę do kawiarni? A czemuż by miał nie wychodzić, kiedy dyrektor — fiuut-ćmok — właśnie, jak co dzień, musiał na chwilę pilnie wyjechać?

— Pan pisze wiersze? — zapytała sweko współpracownika.

— Bądź mądry i pisz wiersze. Nie piszę wierszy, bo dziś nie pierwszy — odpowiedział chodzący dwuznacznik.

— To po co panu pseudo? Ja rozumiem: Syrokomla, Or-Ot. Ale Ciupek?

— Aa, Ciupek? Faktycznie. To mogę być ja.

— A Wielka Pchła? Co to znów za ten...

— Taka grupa. Młodzi poeci, wie pani: przed pięćdziesiątką. A co, ktoś dzwonił?

W ten sposób meldunek dotarł wreszcie do właściwych uszu. W odnośnej teczce przybyła jeszcze jedna notka służbowa.

dalszy ciąg nastąpi.